Nr. 23. Kraków, Poniedziałek 5 Czerwca 1911. Rok II.

Cena prenumeraty w Krakowie i na prowincyi:
z odnoszeniem i przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . K 1·80
Półrocznie . . . . K 3·50
Rocznie . . . . K 6·—
Niemczech i w innych Państwach Związku poczt.: kwartalnie. . . K 2·50
Rękopisów się nie zwraca.

Ceny ogłoszeń:
Ogłoszenia (inseraty) za 1 wiersz petitowy lub jego miejsce . . 20 h.
Nadesłane, wiersz petitowy lub jego miejsce . . . . 80 h.
Nekrologi za wiersz petitowy . 60 h.
Doniesienia o ślubach zaręczynach itd. wiadomości po 1 K za wiersz.
Drobne ogłoszenia za wyraz 6 h. najmniej 60 h.
Wyrazy grubszem pismem liczą się podwójnie.

GAZETA PONIEDZIAŁKOWA

wychodzi zawsze w Poniedziałek, o godzinie 6-tej rano.

Prenumeratę przyjmują:
zamiejscową: Administracya „Gazety Poniedziałkowej“ i wszystkie urzędy pocztowe; miejscową: Administracya „Gazety Poniedziałkowej“, główna trafika w Rynku, agencya J. Hopcasa i A. Salomowej, ul. Sławkowska 2, biuro dzienników M. Hupczyca, ul. Wiślna i biuro dzienników Blocha, ul. Gertrudy. Zamiejscową prenumeratę i ogłoszenia (inseraty) przyjmują: we Lwowie biura dzienników S. Sokołowski Pasaż Hausmana 9. W Przemyślu Heuman. W Tarnowie O. Hant. W Wiedniu Hermann Goldschmied (sprzedaż pojed. numerów), I Wollzeile 6. M. Dukes Nachf., Haasenstein & Vogler (także w Hamburgu, Frankfurcie n. M., Berlinie, Lipsku, Bazylei i Wrocławiu). R. Mosse (także w Berlinie, Hamburgu, Monachium i Norymberdze). H. Schalek Wollzeile. W Paryżu Société Mutuelle de Publicité A. Lorette, directeur, Rue Rougemont 14.

Biura Redakcyi i Admin. w niedziele od 7 wieczór Zielona 7. (Druk. A. Rippera).
Adres Redakcyi i Administracyi przez ciąg całego tygodnia: Kraków, Zielona 8.
Nr. telefonu 510 dla rozmów zamiejscowych w niedziele od 8 wieczór.

Do nabycia na dworcach kolej. i ajencyach dzienników w całym kraju.
Cena numeru pojed. tak w Krakowie jak i na prowincyi 10 h.

Treść numeru:

Dzisiejszy numer świąteczny obejmuje 28 stron druku.

Uwagi o wyborach w Austryi.

Orygin. wywiady Gazety Poniedziałkowej.

Wybory obecne w Austryi mają pod niejednym względem charakter odmienny od dawniejszych. Wobec tego korespondent nasz w Wiedniu zwrócił się do kilku prowodyrów stronnictw niemieckich, z zapytaniem, co sądzą o tych wyborach i o prawdopodobnych ich następstwach. Na pytanie to odpowiedział przywódca stronnictwa chrześcijańsko socyalnego

Eksc. dr Gessmann:

„W obecnej walce wyborczej demagogia odgrywa niestety większą rolę, niż kiedykolwiek dawniej.

Słowa Bismarcka, że „po polowaniu i przed wyborami najwięcej kłamstw usłyszeć można“ sprawdzają się dziś codziennie. Jeżeli wyborcy będą będą wysnuwali wnioski o zdolności do pracy przyszłego parlamentu nie z tego, co poszczególne partye zdziałały w poprzedniej Izbie, lecz z tego, co im niektórzy agitatorzy naklamią podczas agitacyi przedwyborczej, jeśli dalej chętny dadzą posłuch najgorszego rodzaju demagogicznym podjudzaniom, w takim razie niema i nie będzie najmniejszych widoków, iż w nowej Izbie zdoła się zebrać większość gotowa do pożytecznej pracy.

W niektórych jednakże okręgach walka wyborcza toczy się rzeczywiście pod znakiem stronnictw chętnych do pracy. Zwłaszcza stronnictwo chrześcijańsko-socyalne poniosło już na rzecz produktywności przyszłego parlamentu niejedną ofiarę.

Gdzie niema demagogii i nienawistnego podburzania, tam usposobienie wyborców zdradza już przesycenie się walkami narodowemi i wstręt do małej, podjazdowej walki między stronnictwami.

Ludność pragnie i łaknie pożytecznej pracy, takiej, którąby jej dziś, w czasach zupełnej przemiany wartości stosunków i warunków życiowych dawała reformy socyalne, ochronę przed wyzyskiem ze strony wielkiego kapitału i ulgi w dzisiejszej nieznośnej drożyźnie.

Wobec tych imperatywnych niemal żądań ludności zainteresowanie dla radykalnych, narodowych i politycznych haseł stanowczo ustępuje na drugi plan. To też o ile brałem udział w walce wyborczej przekonywałem się na każdym kroku, że dążenie do tego, aby usunąć tak materyalne, jak i formalne przeszkody pracy przyszłego parlamentu, najlepszym i najskuteczniejszem jest hasłem wyborczem.

Co się tyczy zapowiedzianej reformy administracyi państwowej — to rzeczywiście stwierdzić należy wielkie dla niej zainteresowanie w szerokich kołach. Spodziewają się one po tej reformie przedewszystkiem ulgi w ciężarach państwowych przez uproszczenie toku spraw administracyjnych.

Przedewszystkiem atoli domagać się należy reformy administracyi w dziedzinie kolei żelaznych, tu bowiem tkwi główne źródło niedoborów w naszych budżetach państwowych.

Ciężary wojskowe wprawdzie już dziś gniotą dotkliwie całą ludność, która też znosi ją tylko z niechęcią i mimo to, ze względu na bezpieczeństwo państwa, nie da się uniknąć znaczniejsze jeszcze ich podniesienie.

Nowa ustawa wojskowa musi być przeprowadzona parlamentarnie. Wymaga ona jednakże znacznych zmian i poprawek, a główną kwestyą jest dzisiaj, czy zdołamy znaleźć środki finansowe na pokrycie wielkich z niej wynikających wydatków.

Wytyczne przyszłej wewnętrznej polityki Austryi zależeć będą od tego, czy powiedzie się w nowym parlamencie utworzyć stałą i dostateczną silną większość. Jeśli nowa Izba naprawdę zapragnie zdobyć warunki żywotności, przedewszystkiem taką większość stworzyć sobie musi. Może ona jednakże powstać dopiero wówczas, gdy także wzajemne stosunki poszczególnych grup narodowych ulegną zasadniczej zmianie. Tylko w razie, gdy to da się osiągnąć, nowa Izba otrzyma możność rozwinięcia naprawdę pozytywnej i produktywnej pracy i działalności.

W krainie Ludwika II.

Ferdynand Bar opisuje w ostatnim tomie malowniczych i filozoficznych podróży do Niemczech romantyczne krajobrazy Bawaryi. Nieraz wywołuje cień nieszczęsnego króla obłąkańca i pokazuje w nowem świetle tego dziwnego, ale bardzo uczuciowego człowieka. Następujący ustęp wkłada w usta Nikodema, przywiązanego sługi Ludwika II. Powiedzmy najpierw kilka słów o tym Nikodemie.

Nikt z podróżnych nie przypuszczał, że ów praktyczny i trzeźwy człowiek przez długie lata dzielił fantastyczną egzystencyę królewskiego Lohengrina. A jednak on to, nie kto inny, był pierwszym powózcą. Po przez mgły — przy świetle księżyca — woził go szalonym pędem sześcin białymi końmi.

Dusza Nikodema nie mogła dosięgnąć poetycznych uniesień, które dały początek takim baśniowym wyprawom. Po dziś dzień, po tylu latach skupienia i rozmyślania o przeszłości, nie umiał zrozumieć swego pana.

Ale Nikodem był i pozostał uosobnieniem bezgranicznej wierności. Truchlał i milczał. To też podejrzliwy i kapryśny monarcha oceniał jego zasługi. Rozdzieliła ich śmierć.

Powózca Ludwika II milczał, podczas kiedy powóz toczył się powoli w ciemnościach lasu. Nie lubił mówić. Stopniowo rozgadał się.

„Miłościwy pan budził mnie o każdej porze dnia lub nocy, kazał mnie wołać do swego łóżka i rozkazywał: „Nikodemie, noc jest piękna, wyjedziemy za godzinę. Uprząż błękitną ze srebrem“.

Mówił, jakie wziąć konie. Potem przychodził zawinięty w biały płaszcz. Nieraz jeździły jechali przed lub za karetą ze smolnemi pochodniami. Jechaliśmy często sami nie wiedząc dokąd, ale zawsze najniebezpieczniejszemi alpejskiemi drogami. W najdzikszym biegu zjeżdżaliśmy ze stromych urwisk. Czasem było zupełnie ciemno, a wtedy z pod kopyt końskich wznosiły się tumany iskier. Im szybsza jazda, tem większe zadowolenie najjaśniejszego pana.

Czasem kazał nagle zatrzymać, wtedy kładł się na trawie i patrzył w gwiazdy. Bardzo lubił jeziora. Nieraz spędzał noce na przechadzkach nad stawem. Możnaby myśleć, że słyszał szmery i głosy, których żaden z nas nie pochwycił.

Nieraz lecieliśmy wielkiemi dworskiemi karetami ponad brzegami jezior. Karety były elektrycznie oświetlone — mój pan był jednym z pierwszych, który ten rodzaj światła zastosował do potrzeb codziennych. — Wieśniacy, którzy nas spotykali nocą, żegnali się przerażeni. Wielu padało na kolana. Światło przenikało gałęzie świerków i odbijało się we falach — widać nas było w okręgu dwóch mil. Takich rzeczy już nikt nigdy nie ujrzy.

Mój pan nie lubił bogatych, jasnych panów, arystokratów, ludzi z wielkich miast. Nienawidził także miast. Żartował ze swej stolicy. „Sześciu białymi słoniami nie zaciągną mnie do Monachium“ — zwykł mawiać. Obawiał się spisków dworzan i intryg Jezuitów, którzy mieli wtedy wielkie wpływy w królestwie — gdyż ich jenerał w Rzymie był Bawarczykiem.

„Jak piękną byłaby nasza religia, gdyby się księża w nią nie mięszali“.

Podczas długich lat mej służby bywałem codziennym świadkiem jego dobroci dla biednych ludzi. Wyglądało prawie anormalnie, żo lubił lud, on, co tak cenił zbytek. — A jednak lubił zwykłych ludzi — mówił do nich, i tylko z nimi chciał obcować.

Nikodemie, mawiał, wierzaj mi, oni jedni mnie rozumieją.

Twierdzono, iż nikt mniej się nie starał o miłość narodu, jak król Ludwik. Bo, widzicie panie, on nie patrzał na prosty lud, jak szambelani i dworzanie. Nie mówił im jak inni jaśni panowie: „To dobrze. tem lepiej — pomyślimy o waszej sprawie!“ To bardzo pochlebia, ale do niczego nie służy. Jakby kto kładł plastry na drewnianą nogę. A król starał się poprostu spełniać ich życzenia. Jeżeli mógł co zrobić, to nie zwlekał.

Dzieci uwielbiał. Choć brudne i nie uczesane, jak się to w naszych górach zdarza, brał je na ręce i całował. Sam widziałem, jak huśtał na kolanach.

Przywódca niemieckiego Związku narodowego, poseł

dr Sylwester

taką na stawiane mu pytania dał odpowiedź naszemu korespondentowi:

„Walka wyborcza rozgrywa się w łonie niemieckich stronnictw narodowych. Ogólnych i wspólnych wszystkim haseł wyborczych nigdzie zauważyć nie można, wszędzie natomiast odgrywają główną rolę stare antagonizmy partyjne.

Po za Wiedniem dokonuje się wymarsz stronnictw na linię bojową w sposób dotychczasowy. U stronnictw niemieckich tylko w Dolnej Austryi i w Styryi widoczne jest pewne przesunięcie się stosunków partyjnych. To atoli stwierdzić można, że nadzieja, iż parlament austryacki jednak zdobyć się zdoła na uregulowaną, pozytywną pracę, znacznie się wśród wyborców obniżyła. O wspólnem haśle wyborczem nie ma mowy, ani u stronnictw chętnych do takiej pracy, ani grup partyjnych negatywno-obstrukcyjnych. Stronnictwa chętne do pracy zwalczają się w krajach alpejskich wzajemnie z taką samą zawziętością, z jaką występują przeciwko partyom obstrukcyjnym.

O reformach wojskowych i administracyjnych w walce obecnie prawie się wcale nie mówi, jak gdyby ważne te sprawy wcale nie istniały.

Tak samo nie można dostrzedz żadnej zmiany w liniach wytycznych ogólnej i partyjnej polityki; tę chyba tylko, że stronnictwa mieszczańskie dziś bardziej jeszcze i wyraźniej, niż przed czterema laty odsuwają się od stronnictwa socyalno-demokratycznego.

Poseł dr Stolzel,

zastępca marszałka krajowego w Salzburgu, a jeden z przywódców narodowo-niemieckich, tak określił swoje poglądy na obecną walkę wyborczą:

„Co do mnie, to przedewszystkiem ubolewam, że o ile sam zauważyłem i o ile dowiedziałem się z gazet, przy obecnej walce zanadto znów wysuwa się naprzód skrajne stanowisko partyjne, które też wywiera widoczny wpływ na taktykę i ugrupowanie się stronnictw.

Czy rzeczywiście dokonuje się zmiana we wzajemnych i wewnętrznych stosunkach partyjnych, tego na razie jeszcze z pewną chociażby ścisłością stwierdzić nie można, ponieważ wielka część wyborców waha się jeszcze z okazaniem swoich poglądów i swej barwy politycznej, obawiając się z tego powodu szkód ekonomicznych, względnie nawet osobistych.

Stan taki jest pod każdym względem godny potępienia, a mają go na sumieniu te stronnictwa które uprawiają terroryzm w jakiejkolwiek bądź formie.

O ile sam osobiście stykam się z wyborcami w naszym kraiku salzburgskim, mogłem wywnioskować z ich usposobienia i zachowania się, że gdzie nie ulegli demagogicznemu podburzaniu, są najzupełniej dostępni dla zgodnego z prawdą, otwartego przedstawienia im obecnych ogólnych stosunków politycznych. Jeśli też tu i owdzie objawiają się prądy i nastroje, które później dla posłów mogą się stać bardzo niewygodnymi, to winę tego stanu rzeczy ponoszą jedynie ci kandydaci, krórzy z zamiłowaniem uprawiają agitacyę demagogiczną.

U poważniejszej części wyborców uczciwe, otwarte słowo zawsze jeszcze znajduje oddźwięk i uznanie.

Mojem zdaniem, jeśli tylko kandydaci na posłów, nie goniąc za hasłami popularnemi, należycie, a uczciwie wyjaśnią wyborcom sytuacyę parlamentarną i polityczną, bezwątpienia okaże się możliwem utworzenie w przyszłym parlamencie zdecydowanej większości, króra uprawiać będzie prawdziwą politykę państwową, a w dziedzinie polityki narodowej — nie poświęcając nic z praw własnej narodowości — dążyć będzie do zawarcia uczciwej zgody z innemi narodowościami.

A wobec kwestyi reform wojskowych i wobec projektu reformy administracyjnej większość naszych wyborców zachowuje się jeszcze z pewną rezerwą. Czeka ona jeszcze na to, jakie stanowisko stronnictwa mieszczańskie zajmą względem poszczególnych postanowień nowych ustaw. I słusznie zupełnie, ponieważ dopiero te poszczególne postanowienia nadają każdej ustawie, lub każdej akcyi właściwą sygnaturę.

Pozatem sadzę, że wszystkie poważne stronnictwa oraz ich kandydaci poselscy już całej swej akcyi w walce wyborczej nadać powinni ten kierunek, który także w parlamencie zachować pragną i zamierzają.

Każdego rodzaju operowania taniemi, a błyskotliwemi efektami w walce wyborczej mści się się później w parlamencie na całej pracy poselskiej, ponieważ nakłada na nią niepożądane pęta lub popycha ją w fałszywym kierunku“.

Ogólnie poważany przywódca postępowców niemieckich, prof. uniw.

dr Józef Redlich

w tych słowach słowach ujął swoje zapatrywania na obecną walkę wyborczą:

Należyta ocena obecnego ruchu wyborczego, ocena tego rodzaju, iżby na niej oprzeć można wnioski polityczne co do przyszłości, jest rzeczą niezmiernie trudną, nawet dla polityka, biorącego bezpośredni udział w tym ruchu. O ile atoli z własnych spostrzeżeń pewien sąd wydać mogę, za główną cechę znamienną obecnych wyborów uważałbym fakt, iż powszechne, równe i bezpośrednie prawo wyborcze te właśnie stronictwa, które wyrosły z rozwoju historycznego Austryi, zupełnie rozprzęgło i starło. Pokazuje się, że żadne z tych stronnictw, a także żaden ze związków stronnictw, które istniały w poprzednim parlamencie nie posiada przywódcy takę rozporządzającego powagą, któryby mógł kierować także wyborami i wyznaczać im linie wytyczne. Obecna kampania wyborcza rozpada się, jak się zdaje, na cały szereg potyczek i starć pojedyńczych, w których osobiste warunki kandydata, a niemniej względy lokalne większą odgrywają rolę i w większej mierze decydują o wyniku wyborów, aniżeli jakiekolwiek względy polityczne.

Przesunięcia się i zmiany wzajemnych stosunków między stronnictwami natomiast już z tej przyczyny zauważyć nie mogę, ponieważ właściwa polityczna organizacya ludów austryackich na narodowej opiera się podstawie i już wobec tego w ich wzajemnych stosunkach tak długo nie może dokonać się zasadniczy przewrót, jak długo nie wydarzy się fakt decydujących o ich celach i względach narodowych.

Jeśli pyta się mnie pan o moje spostrzeżenia, co do usposobienia kół wyborców, to mogę panu tylko ogólnikowo odpowiedzieć, iż spostrzegłem tylko to jedno: Po za hasłami i dotyczącemi samozachowawczych kwestyi i celów narodowych najchętniejszy posłuch znajdują te przyrzeczenia, które dotyczą polepszenia bytu ekonomicznego poszczególnych grup zawodowych, lub złączonych wspólnymi stosunkami zarobkowemi.

Co się tyczy rozwiązania poprzedniego parlamentu, to tylko panu powiedzieć mogę, że z rozważniejszych polityków nikt się nie dziwił, iż to nastąpiło. Nie dziwiły się temu zapewne i szersze koła, ponieważ ogólnie już stracono wszelką wiarę w możliwość uzdolnienia tego parlamentu do pożytecznej, produktywnej pracy. Obecnie wszystkie te koła nie interesują się w większej mierze ani nowemi ustawami, ani sprawą reformy administracyjnej, a tak samo lokalni politycy partyjni prawie wcale się nimi nie zajmują.

Na pytanie pańskie, czy spodziewać się należy pewnych zmian w wytycznych liniach ogólnej a także partyjnej polityki głównych stronnictw parlamentu, żadnej konkretnej odpowiedzi dać nie mogę. Przypuszczam jednakże, a przynajmniej takie mam wrażenie, iż tego rodzaju zmiany nie nastąpią.

Ostatni z wybitnych parlamentarzystów, których nasz korespondent w tych sprawach interwiewował, był śmiały, oryginalny i z rozmaitych, drastycznych swoich przygód znany „outsider“ polityczny i arystokratyczny hrabia

Wojciech Sternberg.

Oświadczył on naszemu korespondentowi, co następuje:

„Za względnie najbardziej interesujący moment obecnego ruchu wyborczego uważam przedewszystkiem zupełną obojętność, pasywność, a nawet apatyę szerokich kół wyborców; następnie zaś to, że stronnictwa mieszczańskie zdradzają silniejszą, niż dawniej skłonność do łączenia się przeciwko wspólnemu

---

Bawił się z niemi na mchu w lesie lub przed jakim domkiem w Tyrolu. A sam nie miał żony ni dzieci.

Raz przechodził koło biura urzędu celnego. Mała dziewczynka rzuciła mu prosto w twarz kawałek chleba z miodem, wołając: Idź precz, bydlę!

Ach, trzeba go było wtedy widzieć! Król ogromnie bawił się tym wykrzyknikiem — cały dzień był w świetnym humorze — a matka dziewczynki dostała dwadzieścia guldenów. Powiedział wtedy do mnie:

— Co to za przyjemność módz podróżować, Nikodemie. — Co chwilę czekają niespodzianki.

Jak tylko gdzie na wsi lub osadzie zbliżał się do nas ktoś odświętnie ubrany, wtedy najjaśniejszy pan uciekał do powozu, jakby zobaczył złego ducha.

Wciskał się w poduszki z niebieskiego aksamitu, nasuwał kapelusz na oczy, spuszczał zasłonę u okien. Wtedy odjeżdżaliśmy galopem.

Nie cierpiał rządu. A i rząd odpłacał mu pięknem za nadobne.

Zmarły mój pan miał dużo trudności z ludźmi, których potrzebował do swych wspaniałych budowli. Znajdował, że są źle wychowani, narzucający się. Kiedyś chciano koniecznie, aby się zgodził na jakiś plan, który mu nie przypadł do gustu. Bardzo zagniewany wyjechał natychmiast w góry. Zostaliśmy tam cztery dni. Mój pan zaszczycał mnie zaufaniem. Między innemi powiedział wtedy:

Zawsze myślą, że król jest najpyszniejszem stworzeniem. Sam jestem królem i mogę cię zapewnić, że istnieje stworzenie jeszcze od króla pyszniejsze, a tem jest przedsiębiorca.

Innego dnia zobaczył, jak elektrotechnik zerwał różę i wpiął do butonierki. Najjaśniejszy pan rozgniewał się i wypędził go natychmiast. Ale kiedy biedak poszedł do domy, aby zapakować rzeczy, zastał w mieszkaniu wspaniały bukiet najpiękniejszych róż. Powiadam panu, król był artystą, był poetą. Załączył list, że się już nie gniewa. I wytłumaczył że róże cierpią jak my, kiedy się je zrywa. Widziałem list pisany był własną ręką najjaśniejszego pana i zaczynał się od słów: Człowiek, który rwie kwiaty, uzyska ich przebaczenie, jeżeli zaniesie je w darze...

Inżynier bardzo się tym autografem pysznił, ale gdy odjechał, mówił głośno, że król ma w głowie fiołki.

To pewna, że król w niczem nie był innym śmiertelnikom podobny. Miał ataki złości, ale złości ukrytej. — Nie krzyczał wtedy — ale podpisywał wyroki. — Wiedziano, że robił to jedynie, aby ulżyć nerwom, bo, widzicie panie, nie skrzywdziłby ani wróbla!

Często się zdarzyło, że czuł wstręt do którego z lokajów, zwłaszcza, jeżeli mu się wyraz twarzy nie podobał. Wtedy mówił!

— Nie chcę cię wydalić, ale nie pokazuj mi się na oczy!

Jeżeli taki człowiek przychodził do króla, musiał włożyć maskę.

Jakiś lekarz powiedział, że król cierpi na ironię. Kazał nosić maskę służącemu, który kradł lub kłamał, szpiegował lub zdradzał? O panie, nie każdy byłby wpadł na taką myśl. Od tej maskarady skóra cierpnie.

Nigdy nie wymawiał imion ludzi, którzy mu się nie podobali.

Ludzie, zachowujące się jak bydlęta, nie wolni nosić nazwisk rodziców, lub imiona świętych patronów z kalendarza. Toby była „profanacya“. I dawał im imiona zwierząt: buldog, cielę, szczupak itd. Przydomki były zawsze trafne.

Gdy mu miano przedstawić kogo obcego, zawsze się pytał o wygląd. Jeżeli ten ktoś był brzydkim, używano forteli dla otrzymania audyencyi. Mówiono mu, że ta osoba ma wejrzenie Göthego, lub usta Homera. Wtedy zgadzał się na przyjęcie, choć wiedział z góry, że go poniekąd oszukano.

Audyencya wówczas nie przyciągała się długo...

W ostatnich latach zaprowadzono iż służba pałacowa składała się ze szwoleżerów. W kraju mówiono, że król tego sam żądał, aby sobie tych ludzi ująć, ale to nieprawda.

A te chłopaki nie umiały nic, i nie znały wcale

wrogowi: socyalnej demokracyi; wreszcie powolne ujawnianie się coraz wyraźniejszego zrozumienia dla austryackiej idei państwowej.

Na pytanie pańskie, czy nastąpi może pewne przesunnięcie się wzajemnych stosunków większych stronnictw, to tylko odpowiedzieć mogę, że mojem zdaniem obecne wybory w tym kierunku małe tylko spowodują zmiany.

W Czechach należy oczekiwać znacznych strat socyalnej demokracyi i wmocnienia żywiołów umiarkowanych i to z tej przyczyny, że zaufanie do parlamentu i wiara w jego siłę ogromnie osłabła, a wobec tego też i radykalizm nie cieszy się już taką wziętością, jak dawniej.

Państwowa egzekutywa w ostatnich czasach dużo zyskała na sile i znaczeniu, podczas gdy parlament w tej samej mierze na powadze swej stracił.

To zaś da się zapewne w nowym parlamencie odczuć w większym jeszcze stopniu, niż w poprzedniej Izbie.

Austro-Węgry — a Europa w obecnej chwili.

Oryginalny list dla „Gazety Poniedziałkowej" napisany przez byłego ministra.

Zielone Świątki roku bieżącego zastają jeszcze hr. Aehrenthala na stanowisku austro-węgierskiego ministra dla spraw zagranicznych, czego przed miesiącem już nie przypuszczano. Wówczas to uporczywie utrzymywały się pogłoski, że z urlopu swego czasowego przejdzie on odrazu w urlop trwały, czyli w zasłużony stan spoczynku.

Rozmaite okoliczności, o których pisaliśmy w niedawnym naszym artykule o hr. Aehrenthalu, nadawały tym pogłoskom cechę autentyczności. Jako jego następcę witano już margrabiego Pallavicini, ambasadora austro-węgierskiego w Konstantynopolu.

Tymczasem hr. Aehrenthal wrócił i objął urząd swój na nowo, a margr. Pallavicini znów udał się do stolicy sułtana. Pogłoski owe nagle umilkły, dziś nikt już nie mówi o zmianie osobistości na ważnym tym posterunku państwowym, mimo, że po powrocie hr. Aehrenthala zaszły wypadki, które znów ogólną uwagę zwróciły na zewnętrzną zagraniczną politykę Austro-Węgier.

Nad polityką tą warto też rzeczywiście zastanowić się bliżej, zwłaszcza teraz, w porze tradycyjnych rozmyślań świątecznych. Jaką też jest dziś rzeczywiście sytuacya monarchii habsburskiej w koncercie mocarstw europejskich?

Otóż sytuacya ta jest tego rodzaju, że hr. Aehrenthal i wogóle miarodajne czynniki austro-węgierskie najzupełniej z niej zadowolone być mogą. Obecny minister spraw zagranicznych znalazł po swoim powrocie z urlopu stosunki znacznie pomyślniejsze niż były w chwili, w której wyjeżdżał z Wiednia nad Adygę. I łatwo być może, że właśnie ta dla niego szczęśliwa okoliczność wygładziła znów wzburzone dawniej fale jego ministeryalnego bytu.

Nie ma nigdy złego, któreby w ostatecznym rezultacie nie wyszło na dobre — mówi stare przysłowie, a przysłowie to sprawdziło się i na polityce hr. Aehrenthala. Jego zbyt wielka uległość z jednej strony dla Niemiec, z drugiej dla Rosyi wytworzyło dla obu tych państw zbyt wielką pewność siebie, która ostatecznie im zgotowała niemałą kompromitacyę, Austro-Węgrom zaś wskazała drogę, którą kroczyć powinny, ażeby zachować swoje „prestige" mocarstwowe, a równocześnie otworzyć sobie drogę do nowych realnych korzyści.

Kompromitacya Niemiec ujawniła się na razie tylko częściowo. Jej przyczyny i bliższe okoliczności pokryte są jeszcze tajemnicą dyplomatyczną.

Wiemy o niej tylko tyle, co zdradziły nam polemiczne artykuły obustronnych pism półurzędowych. Rozchodziło się widocznie o nowy jakiś krok niemiecki przeciwko Francyi w sprawie marokańskiej. Berlin domagał się od Wiednia takiej samej bezwzględnej sekundantury, jak ongi na konferencyi w Algeciras. Tym razem jednakże dyplomacya austro-węgierska była nietylko nieco ostrożniejsza, lecz i mądrzejsza, niż przed kilku laty. Przykra nauka burzy aneksyjnej nie poszła w las. Wiedeń nie uważał już za potrzebne narażać się poważnie dla „pięknych oczu" króla pruskiego, na niechęć i oburzenie całej reszty Europy, tem bardziej, że interes własny monarchii habsburskiej obecnie mniej tego wymagał, niż przed aneksyą Bośni i Hercogowiny. Dano więc Berlinowi odpowiedź odmowną.

Skutki tej wyjątkowej odwagi i samodzielności widzieliśmy przed kilku tygodniami. Półurzędowe Niemcy zadrżały z gniewu. W prasie tamtejszej posypały się ostre artykuły przeciwko Austro-Węgrom pełne niegodziwych zarzutów i inwektyw.

Zdziwiona Europa zaczęła nadsłuchiwać, azali to już nie koniec przyjaźni austro-niemieckiej.

Tak daleko wprawdzie ten rozdźwięk nie zaszedł. Sojusz pozostał sojuszem — ale powaga Austro-Węgier znacznie wzrosła. Państwo to pokazało, że nie jest tem, za co je już ogólnie poczytywano, bezwolnym pionkiem potężnego sprzymierzenia, że ma jeszcze wolę własną i umie ją pokazać. Samodzielności tej przyklasnęła cała Europa — a w Berlinie za późno spostrzeżono, że gniewem, oburzeniem zbytnio odsłonięto karty i zdradzono własną bezsilność.

Zaczęto więc na gwałt nawracać, no i dziś większy nad Spreą okazuje się respekt dla Wiednia niż przedtem.

A respekt ten bezwątpienia wpływa także na politykę polską Prus. Dziś nie ulega już wątpliwości, że zwlekanie z rozpoczęciem wywłaszczenia jest w niemałej mierze następstwem nieco samodzielniejszej polityki Austro-Węgier.

Berlin zaczyna się liczyć z Wiedniem i z jego względami na słowiańskie ludy Austryi. To znów podnosi zaufanie tych ludów do Wiednia. I tak jedna rzecz dobra wytwarza drugą jeszcze lepszą. Austro-Węgry stają się znów sobą, stają się znowu słowem, którego głos w koncercie nabiera donioślejszego dźwięku. Ile w tem zasługi hr. Aehrenthala — niewiadomo — ale w każdym razie on już sprząta owoce z tego zwrotu i zadowolonym być może.

Jawniejszą daleko i znacznie boleśniejszą była kompromitacya Rosyi. Zapragnęła ona skorzystać z bezczynności Austro-Węgier na półwyspie Bałkańskim i z fałszywej ich do niedawna polityki względem tamtejszych państw, aby odegrać znów komedyancką rolę „opiekunki" słowian bałkańskich i tem do reszty sparaliżować wpływy Austryi. W Petersburgu zabrano się atoli do tego tym razem z prawdziwie niedźwiedzią niezręcznością. Los ostatniej noty rosyjskiej do Turcyi w sprawie Czarnogóry znany jest ogólnie. Turcya śmielsza dziś po wewnętrznem swem odrodzeniu, niż dawniej, odrzucić tej przyjaźni nie chciała, a większość mocarstw stanęła po jej stronie.

Między nimi były także Austro-Węgry. Dyplomacya rosyjska poniosła wprost sromotną porażkę, a ludy słowiańskie przekonały się ponownie, że ta rzekoma ich opiekunka jest i dziś państwem na glinianych nogach, które nic, absolutnie nic pomódz im nie może.

I znów oczy Europy zwróciły się ku Austro-Węgrom. Nawet Anglia, Francya, jakkolwiek ze względu na Niemcy, bardzo dziś zbliżone do Rosyi, wolałyby, ażeby na półwyspie bałkańskim dominowały austyackie, a nie rosyjskie wpływy, bo wówczas polityka Anglii i Francyi byłaby bezpieczniejsza przed niemiłemi niespodziankami z tej strony, która niejednokrotnie już obu tym państwom popsuła szyki na innem polu.

I czas by był najwyższy, gdyby Austro-Węgry — odzyskawszy znów większą samodzielność, uprzytomniły sobie swoją historyczną misyę w kierunku Bałkanu. Sytuacya ich zewnętrzna jest w obecnej chwili bardzo korzystna. Wiedeń cieszy się dziś zaufaniem w Londynie, Paryżu, a może i w Rzymie — a respektem w Berlinie i Petersburgu. Pomnożenie armii i floty wojennej — jakkolwiek spowodowane głównie „obowiązkami" sprzymierzeńca Niemiec — w tej sytuacyi, przy mądrem wyzyskaniu obecnej korzystnej sytuacyi, może również znacznie podnieść mocarstwowe znaczenie państwa Habsburgów.

Położenie Austro-Węgier dawno już nie było tak pomyślne, jakiem jest dzisiaj. Hr. Aehrenthal może

---

służby. Wiecznie potykali się na posadzkach, tłucząc talerze i półmiski. Nie mieli nic do roboty, więc wałęsali się po korytarzach i ziewali, aż im szczęki wychodziły z zawias. Czasem król litował się nad nimi, i brał ich ze sobą do teatru. To znowu starał się o kształcenie ich umysłu i dawał im do czytania dramaty Szylera.

We wszystkiem był bardzo uparty!

— Czytaj — to rozwinie twego ducha — a potem powiesz mi szczerze, co o tem myślisz. Interesuje mnie zdanie nieprzygotowanego umysłu o arcydziele.

I nieszczęsni szwoleżerzy nie wiedzieli, jakiego świętego prosić o pomoc! Szli do stajen i kładli się w słomę, i czytali pilnie „Dziewicę orleańską", lub „Narzeczoną z Mesyny"!

Lecz wszelkie wysiłki „nieprzygotowanych umysłów" na nic się nie zdały, nic a nic nie rozumieli! Już klasyczny język był dla nich czemś zupełnie obcem. A że się bali, że ich wypędzą dla braku wykształcenia, więc szli po radę do kamerdynera królewskiego, który im tłumaczył, co mają powiedzieć, aby się podobać Najjaśniejszemu Panu. Potem szli do króla i naturalnie zupełnie opatrznie powtarzali, co słyszeli. Król słuchał poważnie — bo nie chciał obrażać miłości własnej biedaków, a potem dawał im inne sztuki do czytania.

Raz w nocy, jechaliśmy gościńcem do Lindenhof.

Najjaśniejszy pan kazał mi jechać przez górę, drogą zupełnie popsutą przez deszcze. Wiedziałem, że tamtędy nie przedostaniemy się — ale trzeba było słuchać. Znałem mą powinność. W pół drogi musieliśmy się zatrzymać — błoto dochodziło koniom po brzuchy. Król powiedział sobie, że dojedzie — a tu dalej się nie ruszyć! Wyszedł z karety bardzo rozgniewany, zawinął się w płaszcz i tak do rana przeleżał w błocie na gołej ziemi.

Często odwiedzała go cesarzowa Elżbieta — i widziałem ją kilka razy. Była delikatną, jak porcelana i zawsze myślałem, że się złamie. Nasze Bawarki są piękne kobiety.

Cesarzowa zawsze miała wolny wstęp do mego pana, żaden zakaz nie istniał dla niej. Czasem przychodziła rano i szła prosta do królewskiego pokoi Budziła go bez ceremonii. W stroju podróżnym lub amazonce siadała na kołdrze, na brzegu łóżka — usuwała firanki i uderzała piętami o złocone drzewo. Godzinami tak rozmawiali, jak rodzeństwo. Kiedy odchodziła — nasz pan był jak odmieniony. — O wiele weselszy.

Innych kobiet nie wiele widywał. — Uważał, że panie dworu są nienaturalne i nie „na wysokości", jak się wyraził kiedyś

Jedna tylko dama z liliami...

To była postać z witrażu?

Nie, prawdziwa pani, która kochała go z oddalenia, i posyłała mu wspaniałe snopy kwiatów. Ale nie chciała być widzianą. — Robił wszystko by się do niej zbliżyć i okazać wdzięczność. Zwłaszcza rezerwa mu się podobała. Ale nie dopiął swego.

Nikodemie, mawiał, ta pani musi mieć szlachetne serce. Usuwa się. Onaby mnie zrozumiała.

Co do mnie widywałem ją w Hohenschwangau. Przyjeżdżała na bale do hotelu „pod Łabędziem". Kiedy najjaśniejszy pan przyjeżdżał, kryła się za ludzi których pełno było na plantach nad stawami. Króla to bardzo martwiło. Kwiaty zatrzymywał, póki mu nie przysłała świeższych.

Ach panie, mój król miał nerwy delikatne, jak włosy kobiety!

przepędzić święta wesoło, byle tylko umiał wysnuć należyte konsekwencye z tego co się stało — mniejsza już o to, czy z jego inicyatywy, czy bez niego.

Wybory wiedeńskie.

Wiedeń 1 czerwca.

(*waż*) Znaki i wróżby, jakie ukazały się na horyzoncie chrześcijańsko-społecznym zaraz po zgonie Luegera, jęły sprawdzać się z przedziwną trafnością. Przyczyniło się do tego niezawodnie rozpisanie nowych wyborów do parlamentu. Generalny obrachunek, dokonywany zazwyczaj przy takiej sposobności ze stronnictwami, nie ominął spuścizny luegerowskiej. Obrachunek i bodaj, czy nie likwidacya.

Dwom momentom zawdzięczał Lueger nadzwyczajne swe powodzenie. Zorganizował drobnych mieszczan i dał im pożywkę „ideową": żyda.

Stary liberalizm mieszczański po wyczerpaniu zadań kodyfikacyjnych w okresie narodzin konstytucyjnych, wyjałowiał i zmartwiał. Zabrakło mu celów ożywczych, zabrakło rozpędu twórczego. Przeszedłszy w okresie taffowskiego żelaznego pierścienia do opozycyi, nie umiał tchnąć w nią haseł popularnych. Uszkolił się i stetryczał. Gderał uczenie a nudno na kierunek rządów, bez echa wśród ludności. Utracił kontakt z tętnem życia ogólnego.

W takich warunkach potrzeba było tylko pojawienia się jednostki obrotnej, aby naprowadzone głuche niezadowolenie wśród mas wyborców drobnomieszczańskich, zogniskować i ku celom określonym zorganizować.

Jednostką tą przemyślną a zręczną okazał się Lueger.

Mały sobie adwokat wiedeński, jakich setki, ale ambicyą wyposażony i ruchliwością, spostrzegł kłujące się wśród warstw rzemieślniczych zalążki buntu i postanowił na falach nowego prądu na wierzch wypłynąć.

Pomijany dotąd i lekceważony piekarz, krawiec, rzeźnik usłyszał z nagła wołanie do zrzeszenia i obrony. Ukazano mu namacalnie powód niedoli, w jakiej był pogrążony. Żyd był winien. Żyd, ów pochodzeniem i wiarą odmienny sąsiad, na którego bezkarnie można było zwalić winę wszystkich niepowodzeń.

Wędka nie zawiodła.

W ciągu lat kilku Lueger stał się niepodzielnym dyktatorem stanu średniego. Na jego barkach oparty jął wznosić się coraz wyżej. Precz z liberałami z rady gminnej wiedeńskiej, ze sejmu dolno-austryackiego, z parlamentu — oto hasło, jakie rzucił w tłum rozentuzyazmowany.

Znaczenie historyczne Luegera polega też w spełnieniu celu zakreślonego: Z chwilą podjęcia walki stronnictwo staro-liberalne liczyło w parlamencie zwył 100 członków. Lueger w pył rozbił tę partyę i stworzył natomiast stronnictwo chrześcijańsko-socyalne, które w rozwiązanej Izbie poselskiej liczyło 95 głosów.

Lecz nadprzyrodzony ten rozrost nastąpił, rozumie się, drogą fortelów programowych, ustępstw i kompromisów.

Z partyi reprezentującej pierwotnie interesy drobnomieszczańskie powstało z biegiem czasu stronnictwo obejmujące obok stanu średniego, klasę kapitalistyczną i nieliczny co prawda zastęp robotniczy, a co ciekawsze, obok żywiołu miejskiego, także przedstawicieli wiejskich interesów agrarnych. Obok wyznaniowo wcale tolerancyjnych nacyonalistów niemieckich, reprezentantów najbardziej zaciekłego klerykalizmu tyrolskiego.

Genialny talent organizacyjny Luegera, umiał żywioły te rozbieżne utrzymać w karbach. Ze śmiercią przywódcy, stronnictwo zaczyna się rozpadać na przypadkowe swe części składowe.

Brak spadkobiercy dorastającego autorytetowi Luegera, nie jest jedyną przyczyną rozkładu. Stronnictwa naprawdę ideowe, nie żyją życiem przywódcy, lecz wewnętrznym walorem swych prawd programowych.

Zbieraninie chrześcijańsko-społecznej brak takiego zaczynu żywotności. Kłamstwo, polegające w rzekomej spólności interesów kamienicznika i lokatora, mieszczanina i rolnika, nie da się ukryć trwale. Prędzej czy później przyjść musi do rozłamu.

Na tem tle istotnem rozgrywa się obecnie akcya wyborcza w Wiedniu i we wszystkich okręgach wyborczych, w których brał dotąd górę prąd chrześcijańsko-społeczny.

Początek uczynił Tyrol, gdzie żywioły staroklerykalne zrewoltowały się przeciw nie dość „kościelnemu i katolickiemu" charakterowi partyi. Za tym wzorem poszły liczne okręgi czysto agrarne, dla których kierownictwo partyi było zbyt miejskie i mieszczańskie.

A w samym Wiedniu?

To okrom różnic czysto gospodarczych wielką rolę w niesnaskach odgrywają ambicyjki i spryty osobiste. Wynikło z tego zamieszanie powszechne, w ciągu którego kierownictwo partyi straciło wodze, zgubiło władzę nad masami. Kampania wyborcza antysemitów wiedeńskich jest poprostu wesołą krotochwilą teatralną, w której co chwilę towarzysze partyjni podstawiają sobie wzajem nóżki i dołki kopią pod sobą.

Wesoło.

Nie wynika stąd jednakowoż, by już w ciągu wyborów nadchodzących stronnictwo — zwłaszcza w Wiedniu — klęskę miało ponieść stanowczą. Oprócz socyalnej demokracyi nie ma stronnictwa, któreby mogło objąć spadek. Chrześcijańsko socyalni - rozmaitych odcieni i tendencyi — powrócą z Wiednia przynajmniej w liczbie niezacznie tylko zmniejszonej — ale mimo tego bez dawniejszego znaczenia.

Powrócą pozbawieni tej spoistości, jaką wlać umiał w swych wyznawców Lueger.

Parlamentarne przygody do cna ich następnie zróżniczkują.

Agraryusze klerykalni właściwi — pierwotni — antysemici, oto składowe, których ujęcie w całość będzie zadaniem, przerastającem siły chytrego Gessmana.

Lecz równolegle z tym rozkładem chrześcijańsko-społecznych zapowiadają się w składzie stronnictw parlamentarnych zmiany znaczenia zasadniczego.

Tylko, że użytkowcą tych zmian nie będzie obecny gabinet Bienertha.

Prawda w sprawie kanałów.

Z mowy ekscelencyi dr. Bilińskiego, wygłoszonej przed tygodniem na zebraniu wyborców w Rzeszowie, dowiedzieliśmy się wreszcie, jak właściwie przedstawia się obecnie sprawa budowy kanałów?

Dotychczas najsprzeczniejsze co do tego obiegały wieści; wiedziano, że Koło, a raczej były jego prezes dr. Głąbiński zawarł jakiś pakt z rządem w tej sprawie, lecz treści tego faktu ogółowi nie wyjawiono. Teraz nareszcie otrzymaliśmy z ust ekscelencyi Bilińskiego dokładniejsze co do tego wskazówki.

A dowiedzieliśmy się także, że w październiku roku zeszłego, gdy cała opinia publiczna w kraju gwałtownie wprost upominała się o b u d o w ę dróg wodnych, o zrealizowanie całego projektu kanałowego od Dniestru do Dunaju, gdy na licznych zebraniach i zgromadzeniach uchwalono dotyczące rezolucye, gdy nasze krajowe Izby handlowo przemysłowe wysyłały w tej sprawie obszerne materyały do rządu — ó w c z e s n e w s z e c h p o l s k i e k i e r o w n i c t w o K o ł a b e z n a j m n i e j s z e g o s k r o p u ł u g o t o w e b y ł o s p r z e d a ć t e k a n a ł y z a 1 2 0 m i l i o n ó w k o r o n!

Piszemy wyraźnie i rozmyślnie s p r z e d a ć k a n a ł y. Owe 120 milionów rząd miał wprawdzie dać Galicyi na budowę wewnętrznego kanału galicyjskiego, lecz chyba nie ma wśród nas tak naiwnych, którzyby wierzyli, iż kraj nasz za tą kwotę byłby naprawdę wybudował ów kanał. Suma ta byłaby się rozeszła na wszelkie możliwe inne cele, a kraj na dziesiątki lat byłby pozbawiony nawet widoków uzyskania tej tak niezbędnie mu potrzebnej arteryi komunikacyjnej. Słusznie więc twierdzić możemy, że tego rodzaju pakt z rządem równał się s p r z e d a n i u k a n a ł ó w.

I jedynie z ł o ś l i w o ś c i w s z e c h p o l s k i e j względem ówczesnego ministra skarbu dr. Bilińskiego zawdzięczamy, a mianowicie tej okoliczności, że partya ta za każdą cenę chciała wywołać przesilenie gabinetowe, aby dr. Bilińskiego usunąć a natomiast dr. Głąbińskiego wprowadzić do gabinetu — iż pakt ów się rozbił i sprawa kanałów znów na inne weszła tory.

Swoją drogą nie potrzeba już chyba wyraźniejszego dowodu przewrotności i politycznej niekonsekwencyi wszechpolaków, jak właśnie ten wzrot ówczesny. Prosimy tylko zważyć, że to ten sam dr. Głąbiński, który krótko przedtem niemal ręce całował rządowi za owe 120 milionów w zamian za kanały — następnie bez namysłu kwotę tę odrzucił i z innemi wystąpił żądaniami — nie ze względu na opinię kraju, lecz zwłaszcza dla tego, iż wymagał tego partyjny interes wszechpolaków, no i osobisty interes dr. Głąbińskiego.

Przypadek tylko zrządził, że kraj na tej przewrotności większej nie poniósł szkody.

Dziś sprawa kanałów wróciła znów na platformę poprzednią. O wypłaceniu Galicyi 120 milionów koron lub jakiegokolwiek innego odszkodowania gotówkowego za kanały już i mowy być nie może. Kanały ma wybudować rząd sam — w myśl ustawy z r. 1901.

Że rząd, zwłaszcza gabinet bar. Bienertha będzie z tem zwlekał, że zapragnie znów odroczyć tę sprawę „ad calendas graecas", to z góry przewidzieć można. N o w e K o ł o atoli z n a j d z i e w t e j s p r a w i e z u p e ł n i e w o l n e p o l e. Nie będzie już krępowane jakąkolwiek poprzednią ugodą czy umową i będzie mogło na nowo rozpocząć akcyę i walkę o kanały. Miejmy zaś nadzieję, że walkę tę prowadzić będzie z większą stanowczością i wytrwałością, niż Koło poprzednie, a przedewszystkiem, z większą **uczciwością**.

Nadesłane

(Za tę rubrykę Redakcya nie odpowiada).

DODATEK LITERACKI
do
numeru 23 „Gazety Poniedziałkowej“

pod redakcyą
Bogusława Butrymowicza.

BOHDAN ŁEPKI.

Kwiat szczęścia.

Wlepiając ciekawe oczęta w stroskaną twarz matki, zadawał jej naiwnie bardzo poważne pytanie:

— Mamo, co to jest szczęście?

— Szczęście — dziecino — to jest dola.

— A dola?

— Dola — to taki rzadki kwiat, którego dostać trudno.

— A piękny on?

— Bardzo piękny. Oczu od niego oderwać nie sposób. Patrzysz i napatrzyć się nie możesz.

— A gdzie on rośnie, matko, ten cudowny kwiat?

— Daleko, dziecino, bardzo daleko. Hen, hen, za wodą.

— Mamo, daj mi ten kwiat. Ja go mieć muszę.

— Jesteś jeszcze mały. Jak urośniesz, pójdziesz i może go zdobędziesz.

— Nie chcę, aż urosnę. Chcę zaraz. Teraz. Powiedz mi, matko, gdzie rośnie ten cudowny kwiat szczęścia?

Aby dziecko uspokoić, poprowadziła je ku oknu. (Ich chata stała na wzgórzu, a w dole było jezioro).

— Oto tam, za jeziorem. Widzisz?

— Widzę, mameczko, widzę. Tak ich tam wiele. A jakie piękne! Ogniste... Czy to daleko, mamo?

— Bardzo daleko. Za wodą.

— Za wodą — powtórzył chłopak i oczy jego pobiegły tam, gdzie widnokrąg zlewał się z błękitnemi falami.

Był wieczór. Kontury drzew i chat poczęły się rozpływać. Niebo brało w objęcia ziemię.

Fale jeziora ciemniały, wyrównywały się, znikały. Wtem — na widnokręgu, za wodą błysnęła jasna smuga. A na smudze ukazał się punkt, jak ogień; Rósł, jakby z topieli wypłynął... księżyc.

Majestatycznie sunął się po zmrokach spokojnego wieczoru i zdawało się, że nie po niebie on płynie, lecz jako czółno ogniste sunie się po spokojnych falach jeziora.

— Mamo! — krzyknął radośnie chłopak. — Ja już wiem, ale tobie nie powiem, nie!

— Ach ty, urwiszu jakiś. A wiesz ty, że matce trzeba wszystko powiedzieć.

— Wszystko, tylko nie to. Nie — nie — i schował swoją kędzierzawą główkę na łonie rozmarzonej matki.

W godzinę później leżał w swojem maleńkiem łóżeczku. Matka zmówiła z nim modlitwę, kazała prosić Boga o zdrowie, nakryła, przeżegnała i powiedziała: śpij.

Więc udawał, że śpi. Lecz kiedy matka wyszła z dziecięcego pokoju i zamknęła za sobą drzwi — podniósł powieki.

W pokoju było jasno. Księżyc oblewał ściany i posadzkę powodzią błękitnawo-srebrzystych promieni, a słowik rozsypywał po ogrodzie kaskadę cudnych tonów. Między jednym i drugim — chlupotanie jeziora; jednostajne, ustawiczne, nęcące. Fala cisnęła się do brzegu z zimnym, natrętnym całusem, brzeg był niewzruszony i odtrącał ją od siebie.

Tak ciągle.

Chłopiec przemienił się w słuch.

— Chlupocze. Woła mnie. Pójdź — mówi — poniosę cię tam, gdzie rośnie cudowny kwiat szczęścia. Na księżycowej łodzi ku niemu popłyniesz. Pójdź.

— Pójdę. Skoro tylko matka uśnie. Pójdę.

Tej nocy sen nie skleił mu powiek. Marzył o czarownym kwiecie.

Krótka czerwcowa noc miała się ku końcowi. — Ranek nadchodził.

Na widnokręgu ukazała się nowa smuga. Z początku wązka i niewyraźna, później większa i coraz jaśniejsza.

Zorze zbladły i milkły słowiki. Poranny chłód przebiegł po powierzchni ziemi, jak dreszcze po ciele budzącego się ze snu człowieka. A woda w jeziorze ustawicznie bełtała się powtarzając po niezliczone razy swoje natrętne umizgi do wyniosłego wybrzeża.

Chłopak nie spał. Pierś jego falowała, oczy płonęły, usta gorzały. Podniósł głowę, rękami oparł się o łóżko i usiadł. Nadsłuchiwał... Śpią wszyscy. Nawet stary czarny kot, odbywający nad ranem swoje łowy, leżał koło pieca w kłębek zwinięty.

Chłopczyna wstał, podszedł do okna, otworzył i zeskoczył zeń lekko, jak ptaszek. Zimna rosa obsypywała jego rozpalone ciałko i lizała mu gorące stopy. Poranny chłód przeszywał go do kości. Biegł. Drobne nożęta zaniosły go na groblę, tuż nad jezioro. I usłyszał teraz wyraźnie, jak fale zapraszały go do siebie. „Pójdź — mówiły — nie bój się, pójdź! Zaniesiemy cię tam, gdzie rośnie cudowny kwiat szczęścia“. Więc wyciąga ręce i rzuca się we wodę... Poczyna świtać. Na widnokręgu ukazuje się słońce. Wyzłaca fale, oblewa jezioro purpurą. Jak pięknie! Woda wyglądała jak złota łuska pancerza, lub ryby jakiejś wielkiej, potwornej. Stąpa po tych łuskach chłopczyna i wpatruje się w słońce. Idzie tam, gdzie rośnie cudowny kwiat szczęścia.

Aż oto, niby okręcik biały — łabędź. Jeden, a obok drugi. Para.

— Weźże mię, łabędziu kochany i przewieź za wodę. Przychodziłeś nieraz do nas, na sadzawkę w ogrodzie. Znamy się przecież. Patrz, jakim lekki, bez ubranka i bez tych wstrętnych, ciężkich bucików. Nie zaważę ci wiele. Weź mię łabędziu!

Łabędź podpływa, przypatruje mu się z pod oka, trąca skrzydłem swoją towarzyszkę i odpływają majestatycznie po złocistych falach jeziora.

— Nie uciekajże odemnie, zaczekaj! — woła zrozpaczony chłopak i brnie coraz głębiej we wodzie.

Drobniutkie fale jeziora burzą się. Gdzie stąpi, topiel pereł i kaskada brylantów wytryska z rubinowej toni. Od brzegów, lasem świerkowym okrytych, wieją zapachy żywicy. Cicho — cichutko. Tylko fala chlupoce ustawicznie. — Ciska się ku brzegowi, a odtrącona powraca na jezioro, porywając ze sobą drżącego od chłodu malca.

Oto go już woda po pas oblała, już ramion sięga, już tylko kędzierzawe włoski spłynęły.

Koło łóżka — lekarz domowy. Bada oddech i brwi chmurzy. Matka patrzy weń, jak w twarz proroka.

— Co będzie?

Co Bóg da. Jeżeli silny, to przetrwa. Jeżeli nie — to pójdzie za szczęściem wiecznem.

A dziecko błędnemi oczyma wpatruje się w malowaną powałę i spalonemi ustami szepcze:

— Puść mię! Idę po kwiaty. Tam ich tyle. Takie piękne kwiaty!

* * *

Minęło sporo lat. Małego, kędzierzawego chłopczyny nikt by nie poznał dzisiaj. Urósł i zmężniał.

Dzięki staremu profesorowi botaniki wie, że za żadnem jeziorem nie rośnie ani jeden kwiat szczęścia. Ani jeden...

A przecież zdarzają się chwile, że zapomina o wszystkiem i rzuca się w topiele płynąc, ku wymarzonym rajskim wybrzeżom. Jak wówczas... — Lecz czy dopłynie?

WITOŁD BUNIKIEWICZ.

OSTATNI USSARZ KROLA JEGOMOŚCI.

(KOMEDYA W III AKTACH).

AKT III-CI.

ROZALINA I KASZTELAN.

ROZALINA.

Przebaczcie Dobrodzieju, panie ojcze miły,
na gorzkie utrapienia przychodzę się skarżyć,
wszeteczne bowiem smutki w arkan mnie złowiły
i dnia nie mogę przebyć, ani nocy zażyć.

KASZTELAN.

Córuś dobra, przezacna domostwa uciecho,
Wszak tobie ze słoneczka rwać promienie złote
i baczę, że pod moją nienaganną strzechą,
znajdziesz zawdy ku figlom panieńskim ochotę.
Patrzeć jeno, jak galant w okienko zapuka
i mirtowy wianuszek na czole posieje,
Córuś moja mnie pilno już oglądać wnuka.

ROZALINA.

Frasunkiem cała gorzę, serce mi truchleje.

KASZTELAN.

Czyć znudziły przystojne panieństwu udręki
i gryzą-ć frasobliwe myśli powiernice.
Niebawem już kawaler westchnie do twej ręki
i barwiczkiem namaścisz pobielałe lice
i przypniesz zdobne kresy i umuskasz głowę.
Amor wszędy zdradliwe ponastawiał sidła;
precz pójdziesz z domu mego w małżeńską alkowę,
unosząc wdzięczny statek i cnoty pachnidła.

ROZALINA.

Mój Ojcze Dobrodzieju, nie sierdźcie się zgoła,
w poselstwie od biednego przemawiam kochania,
bo od wielkich frasunków dusza nie wydoła,
zacz rychłego wyglądam od was zmiłowania.

KASZTELAN.

Czylim z fukiem ci kiedy przyganiał córuchno?
albo hardo odmawiał twej wymyślnej woli?

ROZALINA.

Rodzicu Dobrodzieju oczy płaczem puchną
i serce mnie jakoby od złej febry boli.

KASZTELAN.

Miarkuję, wola boża powołanie ziszcza,
do małżonka cię nagli...

ROZALINA.

Ubóstwiam Rotmistrza!

KASZTELAN.

Poniechaj, córuś, myśli Twa kształtna uroda
nie poskąpi samemu królowi pociechy,
pieszczone liczko wabi, nęci krasa młoda,
hej córuchno, nie tobie szlacheckie prać wiechy,
karmazyn tobie mało i grefińskie straże
i zgoła nie przystoi królewiątko głupie.
Poczkaj córuś, niech złoto w tygielku uwarzę,
to nie małe cesarstwo na wiano ci kupię.

ROZALINA.

Niczem dla mnie cesarstwa srogie animusze,
ni przystojne karoce lub śrebrne szkatuły,
gdy miłość ku innemu ordynuje dusze
i dwa serca na wieki kochaniem się skuły.

KASZTELAN.

Wydolić, nie wydolić, pofolgować trudno,
źle bowiem, gdy niesiany chwast w górę urasta,
gorzej, kiedy się chęcią przyjdzie bawić złudną,
lecz najszpetniej, gdy męża zapragnie niewiasta.

ROZALINA.

Przeć proszę was pokornie, bo kawaler grzeczny,
kontentować was może radość miłej dziewki
i on Rotmistrz zuchwały i afekt stateczny,
więc czarnej mu nie każcie podawać polewki.

KASZTELAN.

Nie jadem mi wojować z słabą białogłową
i poczynać lamenty i panieńskie dąsy,
lecz lepiej poczęstować niemiłą odmową,
niżby nazwał cię żoną gaszek gołowąsy.

ROZALINA.

Wydajcie przyzwolenie, dusza cierpko kwili
za Rotmistrzem.

KASZTELAN.

Odmawiam!

ROZALINA.

Nie wytrzyma chwili,
ale pęknie z żałości.

KASZTELAN.

Daremne zamysły!

ROZALINA.

Uśmiechy palą lice, dni wesołe prysły.

KASZTELAN.

Ojcowe niezawodnie spełnisz przedsięwzięcie.

TADEUSZ SZANTROCH.

EROTYK.

Chciałem do stóp twych staroświeckim giestem
rzucić jak kwiatów garść wdzięczny madrygał,
któryby szepcząc słodkich słów szelestem
w pięknym ukłonie mym przed tobą dygał.

I Trubadura nastroiwszy lutnię
chciałem pod okna twe pójść z serenadą,
zwierzyć się snom twym, jak cię kocham smutnie
sercem zranionem, duszą od łez bladą.

Akrosztych, w którym imię twe związałem
girlandą westchnień w ogień rzucam oto — — —
kocham cię buntem młodej krwi i szałem
i krzyk dławiącą kocham Cię tęsknotą!

A jeśli przyjdę pod twe okna nocą,
sny twe upiora przeczuwając może,
skrzydlami, lękiem ranne, załopocą
i przerażeniem poznasz mnie w snu zmorze.

Jakoż mi podjąć frazes kupidyna?
gdy miłość moja sobie samej wroga,
krzykiem po nocy jest tej ziemi syna,
który dla ciebie zdradził swego Boga.

Samotność.

Zamkniony w smukłych sklepień uroczyste nawy,
które dźwignął z frasunków moich o wieczorze
mrok architekt pobożny, myślom tak łaskawy,
zakon mądrej samotni dla swej duszy tworzę.

Ileż ciężkich wyrzeczeń fundamentem leży
mej gotyckiej świątyni... ile już nadzieji
z rąk mych tutaj wypadło... sprawy moje mierzy
białe widmo ofiarne świętej Salomei.

W ostrych łukach zawarta myśl architektury:
raz na zawsze pojęty twardy sens żywota!
z ruin przeżyć bolesnych wzrosły one mury,
a zwycięstwem są mojem ich zaparte wrota — — —
Dawniej chwili rab korny, na jej zdany burze
ninie wieczność mam w sobie, a snom swoim służę.

BOHDAN ŁEPKI.

Jeszcze kilka myśli o epopei Maryi Konopnickiej.

„Pan Balcer w Brazylii“ przedstawia nie tylko pana Balcera, lecz całą gromadę wychodźców i nie tylko w Brazylii, lecz i w drodze tam i z powrotem. Jest już w tytule jego pewna analogia z „Panem Tadeuszem“. Zauważamy ją również we formie i w treści. Ale refleksy owe, bijące od największego arcydzieła epiki polskiej na utwór Konopnickiej, nie są znowu tak silne, aby nas razić mogły. I nie są też jedyne. W najogólniejszym zarysie przypomina bowiem „Pan Balcer“ wędrówkę żydów po pustej pustyni pod przewodnictwem Mojżesza i „Luzyady“ Kamoensa i wyprawy Napoleona i „Ojca zadżumionych“ Słowackiego. Jest w epopei Konopnickiej ten pęd człowieka w pogoni za szczęściem, za lepszym warunkiem bytu.

Jak jesienne liście, wichurą drzew strącone, zrywają się dusze chłopskie i pędzą w nieznane dale, za rzeki i morza. A w pędzie tym natrafiają na skały, puszcze, burze i ognie, na głód i morowe powietrze, na wszystkie owe klęski i okropności doczesnego bytu, o odwrócenie których tak kornie modlą się w suplikacyi; natrafiają i — jedne giną, a drugie wzmocnione, oraz oczyszczone, wracają na skrzydłach tęsknoty ku swej ojczyźnie. Ma więc „Pan Balcer“ jako taki, charakter ogólno ludzki, jest bowiem potężnym wyrazem tego elementarnego, twórczego parcia w przyszłość, a równocześnie przemawia do nas tak serdeczną pieśnią tęsknoty za wszystkiem, co swoje, własne, kochane i umiłowane, że trudno mu znaleźć coś równego. Z jednej strony ma bohaterski pierwiastek ruchu mocy, odwagi, a z drugiej liryczny element smutku i tęsknoty. Wiąże je poetka i sprzęga w harmonijną całość ze świadomością wielkiego artysty i z siłą twórcy. A ten zespół dwóch mocy w duszy człowieka, męskiej, (gwałtownej, twórczej) i żeńskiej (łagodnej, czułej, marzącej) nie jest bynajmniej jedyną trudnością w zadaniu, którego podejmuje się poetka.

Świadoma swego talentu i doświadczenia poetyckiego, a bogata w niewyczerpane skarby fantazyi i uczucia, gromadzi te trudności dobrowolnie, walczy z niemi i pokonywa je szczęśliwie. Wskażemy tylko na niektóre, bo jest ich bardzo wiele.

Otóż przedewszystkiem budowa utworu. Cały ogromny poemat, na 395 stronicach druku, jest opowiadaniem jednego człowieka, pana Balcera, który przypomina sobie dzieje wyprawy po chłopskie złote runo (ziemię) i opowiada je wymownie. Trzeba mieć wielką odwagę, aby się puścić na takie przedsięwzięcie, zwłaszcza dziś, kiedy autorowie dążą do formy możliwie jak najzwięźlejszej, a przytem błyskotliwej i oryginalnej. Trzeba mieć wielki dar słowa, aby tak wiele mówić, a nie znudzić słuchacza. Ma go widocznie poetka.

A dalej — stosunek opowiadającego do opowiadania.

Przecież ten Balcer opowiada rzecz wielką, ogromną, straszną, tradycyę całych setek tysięcy dusz które lecą ku szczęściu, a padają na prokrustowe łoża najstraszniejszych, jakie sobie przedstawić można, fizycznych i moralnych katuszy! Przecież ten Balcer jest autorem żywej historyi ostatnich dziesięcioleci, w których nie naród, lecz narody zwątpiwszy w możliwość zbudowania sobie własnej chaty według własnego upodobania i wrodzonych skłonności, zaczęły garściami wyrywać żywe ciało ze swoich organizmów i ciskać je zapamiętale, w tak zwanej emigracyjnej gorączce za bezbrzeżne fale oceanu! A jest pan Balcer tylko kowalem, człowiekiem bez wykształcenia, nie zastanawiającym się głęboko nad tem ogromnem zjawiskiem, którego ma być dziejopisarzem.

Czy dorośnie on do wysokości zadania, czy nie braknie mu, już nie mówię zdolności, lecz sposobu do godnego przedstawienia tak wielkiej sprawy?

A dodajmy jeszcze, że ten niewykształcony kowal ma nam kuć subtelne, jak kryształ czyste oktawy... Jak on to robi — to już sekret twórczości Konopnickiej.

Ale nie koniec na tem. Konopnicka przedstawia nam wędrowną rzeszą chłopską, oderwaną od zwykłego tła, wśród otoczenia obcego, do którego oni ci wszyscy Mazurzy, Kurpiowie, Unici nie przywykli. Jak ten chłop będzie wyglądał na tle oceanu, w puszczy brazylijskiej, we walce z Murzynami? Czy nie wynikną z tego efekta dziwne, rażące?

Przyzwyczailiśmy się przecież do zasady, że człowiek upodabnia się do przyrody, że więc epopeja narodowa musi malować naród na jego tle rodzimem, w rozmaitych porach roku, w rozmaitych chwilach życia, a nawet godzinach dnia. Jakże tu będzie? Lecz Konopnicka nie tylko zadowalnia nas, malując realny portret chłopa podlaskiego na tle płonących traw amerykańskich, lecz równocześnie kreśli idealne obrazy swojskiej przyrody, które przy każdej sposobności, jako antyteza, zjawiają się przed oczami tych wszystkich Dudków i Ostańczuków. A więc daje obrazy realne, ogromnie plastyczne, barwne, świeże, obok idealnych, które są właściwie wizyami dusz roztęsknionych

Zadanie też ponad siły zwykłego śmiertelnika. Przecież to musi się widzieć, musi czuć, czytelnik musi sobie zdawać sprawę, że jeden obraz jest malowidłem wprost z przyrody, drugi zaś przypomnieniem z pamięci.. .A jak to zrobić? Zdradzę jeden sekret.

Oto te niezrównane krajobrazy puszczy, stepu, burzy i pożaru przypominają więcej Mickiewicza, a te subtelne wizye wsi, łąki, gaju, które zostały gdzieś daleko, bardzo daleko, za morzem, kreślone są więcej sposobem Słowackiego. Pierwsze mają więcej elementu plastycznego, drugie muzycznego, tamte trafiają nam do duszy przez oko, te idą do serca przez ucho.

Ale to tylko jedno spostrzeżenie, reszta kryje się w głębiach talentu autorki... Zdawałoby się komuś, że chyba dość tych trudności, że i tak niepodobna będzie dać sobie z niemi radę. Tymczasem Konopnicka wyszukuje coraz to nowe. Naprzykład język.

Przecież można było użyć języka literackiego, którym poetka tak świetnie włada i który najłatwiej przemawia do ucha czytelnika.

Tymczasem Konopnicka daje poszczególnym osobom swoiste zabarwienie językowe, odpowiednio do terytoryum, z którego pochodzą i stosowne do ich chararakteru. A więc znajdziemy takie ukrainizmy w ustach unitów, jak: hramota, urorzyszcze, pojas, puhać, chwist, ług (błoń) bożyć się, sennik spisany, porogi, slozy, ni wielu, ni znaku, stołb, rataj, tutże, lewoda (grecyzm, cierlica (polskie tarlica) szporko, mościć szlaki, (шлики мостити) sieroteńka, murog (моріг, моріжок — murawa) "tucza, leda, (леда) kroska, zawijka, witka, (gałąź) i t. p. Opacz zaś, który służył wojskowo przy marynarce rosyjskiej, używa rusycyzmów n. p. jug, czort, pastoj! brat moj (poc) i t. d. Inni używają prowincyonalizmów, lub słów mało używanych, jak: na odsieb, spierka (spór) szarpki (energiczny), gorzec, zoła, runiać, brożyna, oraz form w rodzaju — siednięty. Prócz tego „morze zakołychało się“, „słońce zczezło“, „rusznice odwiedziono“, “lico ukanęło“ i t. d. Całego zapasu słów trudno wyczerpać. Możnaby osobny słownik ułożyć.

Każdy śpiewa
Po swemu, socie i swojej nadziei...
Czego upragnie, czego się spodziewa,
Dobywa z duszy w tej głosów rozwiei... (str. 172)

Oto trudności, które poetka dobrowolnie nagromadziła i przez które przedziera się, jak jej emigranci przez odwieczne lasy brazylijskie, z tą tylko różnicą, że tamci ustąpili we walce z przeciwnościami, ona zaś wychodzi zwycięzko.

Rozumie się, że utwór nie jest bez skazy. Jako dzieło z różnych elementów złożone, musi mieć i swoje słabe strony. Są to jednak usterki, które nie występują zbyt ostro i nie psują dodatniego wrażenia całości. Zaliczyłbym do nich nadto szczegółowe opracowanie epizodów, brak perspektywy chronologicznej i nadmierną rozrzutność w opisach, obrazach. Prócz tego jest trochę wierszy wadliwych, które wyliczam poniżej*). Zbyt wyraźnie reminiscencye auto-

*) I tak się toczy, jak owoc dojrzały,
Środkiem izby, a po czubach biały. (str. 60).

Ale narobil wrzasku, że zaniesie
Skargę, że był na flocie w Odesie. (str. 86).

Splunąłem na bok, bom nie mógł przetrawić
Złości, patrząc na jakąś niebogę. (str. 85).

— I dość! I basta! — krzyknę. — Ty rarogu
Jeden, bo nam podusisz dziewczęta! (str. 308).

ROZALINA.
Rotmistrz, albo nikt drugi, tak przysięgam święcie!

. . . .

ROTMISTRZ I ROZALINA.

ROTMISTRZ.
Dobroć nie mogła, przeto gwałt pomoże.

ROZALINA.
Lecz waść mnie w głuchym zostawi klasztorze,
gdzie na pokucie dni moje przetrawię.

ROTMISTRZ.
W cichym klasztorze, w którego pokoje,
żaden okrutnik nie wejdzie ciekawie,
gdzie będziem tylko my razem we dwoje
i ja szczęśliwy i ty wielce rada,
na wieki wieków.

ROZALIMA.
Przecie nie wypada!

ROTMISTRZ.
W cichym klasztorze, do którego bramy,
my jedni klucze tajemnicze mamy.

ROZALINA.
Wątły ogarek tli w klasztornej celi,
ja o waszmości przy klęczniku marzę,
gdy w tem klasztorna siostra wejdzie w bieli
i szepnie, że tam w pustym parloarze,
spowiednik czeka, bo wielkie me winy,
a ja odgadnę, żeś przybył jedyny.

ROTMISTRZ.
O! takiem szczęściem anioły się szczycą.

ROZALINA.
Ty księdzem będziesz, a ja zakonnicą.

ROTMISTRZ.
Wielmożną ksienią, sławioną królową
dla której maje plenią rajskie kwiaty,
zorze miotają smugę barw tęczową,
prządki niebiańskie srebrem wiją szaty
i białe perły rodzi wielkie morze, —
tako sławioną będziesz w tym klasztorze.
Spiesznie najmilsza, droga nie daleka,
Ucieczka jedna od zagłady zbawi,
ksiądz przy ołtarzu ze ślubem już czeka,
a mnie się dusza niepewnością krwawi
i nie przestanę, aż do mych pokoi,
wejdziem złączeni.

ROZALINA.
Ależ nie przystoi!

ROTMISTRZ.
Hajduczek właśnie kulbaczy rysaki
i chyży dzianet uzdę gniewnie targa,
widne przed nami rozjaśnieją szlaki,
a po za nami złe losy i skarga.
Najmilsza, lotem — nie odkładaj chwili,
uchodźmy prędzej!!

ROZALINA.
Waść się wielce myli,
ucieczka, dokąd? — wstydem cała gorzę,
na myśl podobną — wszak to być nie może.

ROTMISTRZ.
Ojcowa wola daleko nie sięga,
Waćpanno, wspólne nam znaczone drogi,
wyglądać dłużej, piekielna mitręga,
więc porzuć domu nieprzychylne progi.
Chyżość nas ludzka w stepie nie dogoni,
na pustych polach noc leży i ślady
stąpań zakryje — szybkość moich koni
sławna — i zanim świt blady,
na szarych niwach rankiem się zapłoni,
ułożysz głowę w bezpiecznej ustroni.

ROZALINA.
Ach, waszmość uparty!
Porwanie dziewki, to nie płoche żarty.

ROTMISTRZ.
Pędziłem często do twojej komnaty
i przez lodowe pomykałem góry,
jeno tęsknicę przywoziłem w swaty,
jeno kochanie wiodłem na konkury.
Bronisz się jeszcze, uciekasz przed cieniem,
co zmaże troski i uśmierzy rany,
Ocz Cię błagalnych ogłuszę spojrzeniem,
stopy omotam w różane kajdany.
Ociągasz szczęście, co zdaje się blizkiem,
drżysz, jako wiotka na wichurze chusta,
skuję ci ręce gorącym uściskiem
i pocałunkiem zaknebluję usta...

— — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — —

autorów innych, do zalet również nie można liczyć.

Kiedy n. p. pisze Konopnicka:

Bo strzał tak srogi i tak nadzwyczajny
Mógł dać człek jeden tylko. Piotr Zagajny,

lub:

Szczędzić proch, chamska — mawiał — nie szlachecka.

albo:

Aż nagle, kawał ciśnięty polana.
Świsnął, i podciął Bohowi kolana.

to zdaje się, że do „Pana Balcera“ dolatują echa z „Pana Tadeusza“.

A znowu, kiedy czytamy n. p. takie wiersze jak:

Tak chwycą tego czerwonego trupa
I tym się strasznym sztandarem nakryją.

lub:

Jak malowane wstęgi, wiszą tęcze,

albo:

Już nas porywa wiatr, co po ugorze;
Polnym gdzieś świszcze przez puste zagony.

to mamy wrażenie, że przemawia do nas głos Słowackiego.

Czasem przypomni się Ujejski n. p.

Step, skroś sinego gnęcy otoku
A nas garść ledwo widna Boga oku.

Czasem w tej chłopskiej mowie zadźwięczy rubaszny głos Reja n. p. „Nim one sprosne napchali se pyski (str. 261) i t. d.

Nie są to bynajmniej grzechy poetyckie, nie wypływają bowiem te przypadkowe pożyczki z chęci strojenia się w obce pióra (tego stanowczo Konopnickiej zarzucać nie można), ale lepiej byłoby, gdyby utwór od tych drobnych usterek był wolny. Mielibyśmy dzieło jednolite, z jednego kruszcu odlane.

GRZ. GLASS.

Za kotarą.

Zdarzyło się raz — wytwornie mówiąc — zdarzenie, bardzo głośne, bardzo gorszące, całkiem niepotrzebne.

Towarzystwo opieki nad zbrodniarzami sprawiało swój doroczny raut kostyumowy, gatunek maskarady bez masek, bo to było w poście.

Ale zabawa musiała być. I musiał być dochód na intencyę poprawy i odrodzenia zbrodniarzy. I komitet musiał być i był. I musiał coś uciesznego wykoncypować, żeby był dochód.

Towarzystwo Opieki jestto — towarzystwo, nie szumowiny: adwokat, lekarz, artysta, inżynier, sędzia mózg, serce i żołądek Narodu. — Któż inny ma się szumowinami opiekować? Przecież nie ten, kto szumi, lecz ten, kto bulionu kultury dogląda, kto społecznie kucharuje, kto szumowiny łyżką zbiera — i o ziemię plusk!

Daj katu taką opiekę: po to cię zbiera na gorąco, by wyrzucić na zimno?

Tak, i na to niema rady. Bez szumowin nie było jeszcze rosołu, a żeby z szumowinami po dobroci postępować — Boże uchowaj! Wykipi cały rosół, a wraz z nim cały mózg, serce i żołądek Narodu.

Trzebaż takiego trefnego trafu, że o tym samym czasie, kiedy komitet Towarzystwa opieki obradował nad mającym się odbyć rautem, jeden znakomity krytyk teatralny, który miał żonę szpetną, żonę przewrotną, o ciężkiej i bijącej dłoni, dał światu nowy wyraz i nazwał go: „Stylizacyą“ Przed kilku działo się laty. Poszło słowo między ludzi, otarło się, starło, obiło, ograło, otrzaskało dotyla, że dziś, gdy teatralny krytyk, błądząca nerka, czy pęcherz Narodu, wchodzi w teatry, wiemy już wszyscy, że mógłby on łatwo ponieść śmierć męczeńską w takim lunatycznym kraju, gdzieby pod groźbą śmierci zakazano używania znaku „stylizacyi“ częściej, niż sto razy w jednoszpaltowej na sto wierszy zamierzonej recenzyi.

Ale wtedy, w wigilię rautu, stylizacya posiadała jeszcze wszystkie uroki młodości i kiedy przewodniczący komitetu zabawy, mecenas od kryminału i opieki, zaproponował „stylizacyę“ rautu w takim stylu, ażeby wszyscy ludzie z towarzystwa, nie wyłączając komitetowych, przebrali się za kajdaniarzy, oklaskiem radosnego przyzwolenia ubito sprawę na miejscu.

(Powiedzieć jeszcze muszę, że wszystko się odbywało w Rosyi. A nie dlatego to mówię i podkreślam iżbym, jak wielu innych, wyzwalał się z radykalizmami zawsze na zewnątrz, nigdy w swoim kraju i gnieździe, ale dlatego to mówię i podkreślam, że wszystko się odbywało rzeczywiście w Rosyi, koniecznie w Rosyi, oczywiście — w Rosyi.)

— Jakże się cieszę — klasnęła w dłonie mecenasowa i patronka rautu, znana z tego, że z każdym koncypientem męża, których on zmieniał co kilka miesięcy nawiązywała stosunek przyjaźni — że będziemy mieli raut stylowy. Zupełnie niesłychane! Przebiorę się za apaszkę. Będziemy tańczyły taniec apaszów — naturalnie tylko mimicznie, bo to w poście:

„Va t'en chercher la grande Nanà
dis que j'la prie — e
gagner pour moi — j'payerai ça
à la sortie — e...“

zanuciła bulwarową piosenkę paryską, o „takiej“ piszącej z więzienia do „takiego“.

— Będzie doskonale, bosko: „Galerniki dla galerników“. Coż za idea — no... poprostu od czasów „Rewizora“ nic bardziej stylowego... Niby zbrodniarze, a jednak, jednak...

— Pięknie — rzekł frasobliwie mecenas, niby-galernik, który na pokrycie kilku roztrwonionych depozytów mniejszych roztrwaniał teraz najznaczniejszy i ostatni — ale skąd weźmiemy tyle kostyumów?

— Drobiazg — rzekł niedbale dziennikarz, niby-kieszonkowy złodziej i recydywista, który mianował swoje kurtyzany na pierwsze role w dramacie i dlatego uchodził za pierwszego znawcę teatru — każemy sobie przysłać z więzienia „wzory i modele“.

— Ależ naturalnie — rzekł krytyk literacki niby-oszust, niby-szuler, który miał zwyczaj wybitne książki swoich wrogów grzebać w milczeniu i niepamięci — dyrektor więzienia jest członkiem naszego towarzystwa i nie odmówi nam tak małej grzeczności... Ostrzegam tylko przed zbyt przesadną stylizacyą. Wszystko musi być proste, jasne i szczere...

— Przecież to dla zbrodniarzy — rzekła starsza, siwiejąca profesorowa, o której mówiono, że rozrzutnością i rozpustą ułożyła męża do grobu — i jest w tem wszystkiem jakby akt pokuty... Liczymy też na prasę, która cel naszej zabawy szerszej publiczności wytłomaczy.

— Raut będzie się nazywał „Gospoda stylizowanych szubrawców“ — wypalił na ostatku mecenas, w krzyżowych ogniach takiej niemożliwej i już zupełnie nieliczącej się z czasem i miejscem, ani statutem Towarzystwa wesołości, jaka możliwa jest tylko w Rosyi, gdzie mecenasy podrabiają książeczki kasy oszczędności, posłowie kradną, dziennikarze rajfurzą dziewki, krytycy kłamią historyę, kustosze muzealni strzelają do portretów, a Akademia Umiejętności (w Petersburgu) nagradza dwudzieste wydanie katechizmu 1880 r., dość umiejętnie fałszując praytem wolę zapisodawców.

Taki kraj — ta Rosya, Rosya — jeden kryminał...

Nieszczęście przyszło w dzień, raczej w noc rautu nad ranem.

Już na kilka dni przedtem wysprzedane zostały karty zaproszenia. Stawiło się na „Gospodę“ całe miasto, cały brzuch Narodu (to było w Rosyi) i kilka tysięcy niby — szubrawców, potrząsając stylowymi kajdanami, wypływało już na pełne morze zabawy, gdy z mroków Niewiadomego wykrzesała się gwiazda złotwórcza.

Bowiem tej właśnie i niewiadomo dlaczego właśnie tej nocy, kilkunastu niebezpiecznych złoczyńców wyłamuje kraty więzienne, uchodzi pościgu, czyta wdrodze plakaty, trafia do „Gospody szubrawców“, sądząc nie bez powodu i metody, że idzie do „niby-swoich“ i że łatwiej im będzie się ukryć wśród tworów bądź co bądź do siebie zbliżonych, jeżeli nie bajką czystego człowieczeństwa, o której nikt nie wie, czy ona oznacza szubrawość, czy tylko niby-szubrawość, to w każdym razie, w pierwszym planie i rozstrzygająco — samym wyglądem.

Wyrachowanie, jak się widzi, było dość subtelne, lisie i karygodne, a nawet trochę złośliwe.

Szukaj tu w polu koniczyny o czterech listkach!

Znalezienie szpilki w tym lesie mogło być tem jeszcze trudniejsze, że wielu gości, chcąc osiągnąć całkowitą artystyczną stylizacyę i złudzenie, ucharakteryzowało się od butów po łby na łajdaków. Niektórzy mieli nawet kulę u nogi i pchły za pazuchą — co przy groźnych i podejrzanych twarzach, jak n. p. twarz mecenasa, twarz dyrektora więzień, twarz szefa antropometrycznego biura, twarz dziennikarza utrzymańca, twarz posła i twarz kustosza, o innych nie mówiąc, dawało już nie pozory, nie jakieś coś, co przypomina coś, ale pełną miarę, cały kształt zbrodniczego faktu...

Na te właśnie podobieństwa bliźniacze, fabryczne, dokonujące zaboru sztuki przez życie, liczyli zbiegi, gdy się schronili do „Gospody“ — która ich przyjęła jako gości, doskonale wystylizowanych, naturalnie szczerych i brutalnych na prawie powszechnej zabawy i gry w człowieku i zbrodniarzu, fikcyi prawie niedostrzegalnej, realnie nieistniejącej, lub błahej, jak spór o zmarłych.

Ale oni nie wierzyli.

Nie wierzyli, gdy policya z wojskiem wkroczyła na salę. Przywitano ją śmiechem. „Niespodzianka“! Jedna z niespodzianek, obiecanych przez komitet! Było w stylu. „Niby-policya — niby-wojsko“. Gdzie tylu niby-łotrów... Nie wierzyli, gdy aresztowano na raucie mecenasa. „Brawo! Tego przedewszystkiem... Pójdziemy wszyscy — proszę nas zaaresztować... Jest tu takich więcej...“ A nawet nie uwierzyli kiedy jeden z gości dostał kolbą między oczy... Nieporozumienie... Sprawa osobista... Nie wszyscy zresztą widzieli... Niewiadomo jednak, gdzie i w co przełamałby się historya, gdyby naraz... na jednej panience, przebranej za „Mańkę z przedmieścia“ nie zapaliła się sukienka, jak potem mówiono umyślnie pod-

CZESŁAW WROCKI.

Człowiek a dziecię.

Czyż nie są dzieci jako lilje, uśmiechające się do słońca na trzęsawisku?... W okół nich kipi głęboki i mętny nurt życia, dyszą nigdy nieznużone, nigdy nie syte namiętności, rozwiera krwawą swą paszczę zbrodnia, dzwoni ponuro kajdanami niewola, szlocha żal i smutek, gorejącemi źrenicami poziera przed się tęsknota i rozpacz wysehłą pierś rozdziera, — a one wielkiemi wśród bladych twarzyczek oczyma, zdumienia, nieświadomości i smutku pełnemi poglądają wkoło, by w tejże chwili z zachwycająco radosnym uśmiechem na ustach wyciągnąć małe, szczupłe rączęta do słonecznego promienia, do zwieszającej się gałązki drzewa, do wietrzyka, lniany włos ich muskającego, do ptaka, co poziera ciekawie ku nim z gałęzi; lub wsuwają bose, opalone przez słońce nóżki do mętnej kałuży, nieba i chmur w niej odbiciem zaciekawione; aż pojaśnieje mętna kałuża, oczyszczona ich jasnych oczów spojrzeniem...

A gdy są smutne z powodu utraconej lub popsutej zabawki, z powodu ucieczki ptaka, co wzrok ich barwą piór lub świergotem na chwilę zatrzymał, lub też z powodu smutku lub gniewu, co padł na ich dusze z otoczenia, to twarzyczki ich mają wówczas wyraz bezbrzeżnej żałości, wielkie oczy napełniają się łzami, linia czerwonych ust zgina się w obu kątach ku dołowi i wzruszające westchnienia podnoszą małą, wątłą pierś, — a wtedy cała ziemia i niebo i wszystko co żyje, staje się współczujące i smutne; bo cierpienie dziecka jest cierpieniem bóstwa -przyrody, ból dziecka jest jej bólem, a wesele i śmiech — bóstwa weselem i śmiechem...

Czyż istnieje coś bogatszego w barw przepychy, w rozmaitość kształtów, w światła i cienia kontrasty, jak wyobraźnia dziecięcia?...

Kawałek kija, znaleziony na podwórku lub na drodze starczy dziecku za ognistego rumaka; wsiada nań i pędzi z krzykiem, śpiewem, z płonącemi radością oczyma. I wierzajcie mi, że ten kij ma w oczach chasającego dziecka wszystkie te kształty, zalety i wady, co koń rzeczywisty. Znaleziony na śmietniku strzępek płótna stanie się dla dziecka materyałem, z którego sporządzi godową szatę dla patyka-króla lub będzie cudnem dziecięciem, pieszczonem jak najczulej; wyproszone blaszane pudełko z sardynek stanie się skrzynią, zawierającą całe skarby Sezama; kupka piasku — górą niebosiężną, Giewontem i Mont Blankiem lub materyałem, z którego zbuduje zamki obronne i pałace bajeczne, w których zaczarowane, królewne oczekują rycerzy-wyswobodzicieli. Małe podwórko będzie dla dziecka puszczą niezmierną, stepem lub borem, pełnym tajemnic, strachów i dzikiego zwierza, w którym jako myśliwiec lub zbójca krwawe staczać będzie boje.

* * *

Lecz w przyrodzie oto i wśród gromady ludzkiej, w puszczy i w mieście, rządzi człowiek, co zabił w sobie duszę dziecięcia. Stał się szarą i twardą skałą, o którą rozbijają się burze, wichry i fale. — Uzbroił się w ostry bratobójczy miecz, w armaty i karabiny, rzekomo w obronie swych bezwartościowych skarbów. Jego oczy nabrały zimnego blasku stali, uśmiech stał się bezradośny i obłudny, ręce zgrubiały i stały się twarde i ciężkie, a dusza, w której przeglądało się niegdyś z rozkoszą niebo i słońce, przez którą przelatywały obłoki-gołębie i zefiry-motyle, stała się naczyniem, pełnem grzechu, gniewu, krwi i wszelkiej nieczystości!

I oto człowiek ten, twardy stróż bezwartościowych swych skarbów, który płomienie oczu utkwił w trzewiach ziemi i wbił w nią palce swe jastrzębie — w pogoni za złotem, nędzny, okrutny i po stokroć nieszczęsny, — jest ojcem i wychowawcą dzieci swych, owych lilij, które są kwiatem i bezinteresowną rozkoszą bóstwa!...

* * *

Spójrzcie na dziecię, gdy zakłada przewspaniały, czarodziejski ogród z drobnych patyczków i gałązek, na maleńkim, jak dłoń, skrawku ziemi. — Nie znam nic piękniejszego, a zarazem prostszego i bardziej bezinteresownego, jak ten bezcelowy trud dziecięcia, sam sobie będący celem; jak to niefrasobliwe, pełne szczęścia grzebanie w ziemi bezsilnemi rączkami; jak ten budzący się w jego duszy instynkt twórczej pracy, nie mającej w sobie nic z chęci zysku, z żądzy zaboru i władania.

A tam oto idzie zieloną miedzą wśród dojrzewających łanów zbóż człowiek; oczy jego rachują, ile worów ciężkiego ziarna da mu łan, ile złota przybędzie głodnym wiecznie kieszeniom jego, drży z radości na myśl wyrafinowanych uciech, które kupi za złoto. A jego dziecię krzyczy z radości na widok ślicznych, smukłych kłosów; oczami wypełnionemi łzami zachwytu i zdumienia przygląda się najświętszej tajemnicy powstawania z ziarna nowego istnienia; nie liczy zysków, lecz cieszy się, zachwyca i kocha.

* * *

O poeto, szukający nastrojów, wrażeń i natchnień po dalekich lądach, morzach i miast mrowiskach! — O malarzu, usiłujący naprożno wydrzeć przyrodzie jej tajemnice i barwy! Gdybyś miał serce i duszę, jako dziecię, świat i wieczność zachwycaiby się twemi dziełami, a ty sam niewyczerpane źródło natchnień, snów i wizyj czarownych we własnej znalazłbyś duszy...

palona przez któregoś ze zbiegów w nazbyt zrozumiałym celu wywołania paniki i ucieczki. Panienka została ugaszoną i wyszła wkrótce za mąż. Ale cała „Gospoda!“

— Cóż — czy spłonęła?...

— Nie.

— Uciekła?

— Nie.

— Któż legł na placu?

— Nikt

Mógłbym w tej chwili, stojąc u zwrotnicy, wykoleić komedyę na krótkie, zapasowe tory tragedyi, stratować i zwęglić żywcem kilka tysięcy ludzi.

Jeżeli tego nie czynię i daruję im życie, jest-to zasługą mojej ostatniej wiary wiar, która nie wierzy w żadne zasługi, ni winy, ni kary.

. . . .

Gospodę podzielono na mendle i kopy i pod eskortą wojska zapędzono do policyi... Tam gdy już wszystkich przesiano skroś sito, pokazało się,, że prawdziwi zbrodniarze zbiegli...

Ale czy to tylko byli p r a w d z i w i?

FELIKS GWIŻDŻ.

Podróż.

Jedziemy do Krakowa, do egzaminu w gimnazyi. Pierwszy raz w życiu jedziemy do Krakowa. Pierwszy raz w życiu koleją. A z nami jedzie pan organista z naszej wsi. Jest to najszczęśliwszy człowiek na świecie. Ma niebieskie oczy, duże bure oczy, włosy zaczesane w górę, jest ubrany po pańsku. A ręce ma takie bielutkie-białe, jakby je wapnem pobielił. On już wie, co to jest kolej. My obaj, to jest ja (mnie na imię Franuś) i Jędrek, patrzymy ze zdrżeniem serca na fuczącą straszliwie maszynę żelazną, na czarny dym, buchający z niej groźnie i dumnie, a on sobie nic z tego nie robi. Kończy kręcić papierosa.

Wołają „wsiadać“! My pędzimy co sił, żeby nas nie odjechali, a on powoli idzie koło wozów i powiada, że szuka lepszego miejsca. Wchodzimy wreszcie do przedziału trzeciej klasy i natychmiast siadamy na ławkach. Pan Organista tymczasem wyjmuje zapałki i zapala papierosa. Potem zupełnie tak, jak w izbie, otwiera okno i wychyla się. A u góry, nad oknem jest napis: „Wychylać się nie wolno“. Ale cóż panu organiście zrobią? Przecież on taki pan, może jeszcze większy, jak konduktor. — Pociąg już rusza, a on stoi w oknie i kłania się komuś i śmieje się i nic sobie z niczego nie robi — zupełnie tak, jakby stał przed organistówką i rozmawiał z kimś przechodzącym. On nawet nie czuje, że jedzie koleją.

A my czujemy. Kolebie nas, kolebie, a wszystko mija, mija. Pola, lasy, krzaki, słupy, rzeki mosty. — Strach pomyśleć. I nie wiedzieć już, gdzie patrzyć. Bo i z jednej i z drugiej strony jest co widzieć i żal by było nie widzieć. No to umawiamy się z Jędrkiem, że on będzie patrzał w jedno, ja w drugie okno, a który z nas zobaczy co ciekawego, to się zawołamy. — Cóż kiedy równo wołaliśmy na się co chwila:

— Franek, patrz ino!

— Jędrek, patrz ino!

Nie było rady. Umowa na nic się nie przydała. Pan organista zaś był ciekawy jednej tylko strony. Stał w oknie i patrzał. Gdy dojechaliśmy do Nowego Targu, zawołał nas.

— Widzicie ten tor kolejowy, co się stąd odgałęzia i zmierza w las, na zachód?

— Widzimy.

— Tędy można jechać na Węgry.

Cuda, cuda. Można jechać na Węgry. Pan organista pewnie już był na Węgrach, skoro wie, że tędy się jedzie. Jaki on szczęśliwy i mądry! Można jechać na Węgry. A Węgry są daleko i jeszcze dalej. Aż za Tatrami. I tam są zbójeckie murowane piwnice, tam rodzi się wino i pszenica. — A u nas pszenica się nie rodzi, bo Tatry zasłoniły naszą ziem od ciepłych krajów. Ale tam się rodzi. Tam są krowy wypasłe, takie tęgie, jak woły, woły zaś wzrostu końskiego, konie — — dopiero to konie muszą być! A jedzie się na Węgry...

— A jak się jedzie na Węgry?

— Koleją, chłopcy, koleją. Przez Czarny Dunajec, Chochołów, Suchą Górę i tak dalej...

I tak d a l e j... A więc jeszcze dalej i dalej.

Tymczasem pociąg rusza i znów jedziemy. Chodzimy po całym wozie, od okna do okna, z ławki na ławkę. Jedziemy. I widać z okna, jak miedzami idą ludzie do roboty, jak jadą furami, ale nikt tak nie idzie i nikt tak nie jedzie jak my. Gdyśmy byli na ten przykład narwali jabłek w ogrodzie Kośnego, toby nam nic nie zrobił. Nie dogoniłby nas. Ta kolej, to jest przecie... kolej! I to parą, parą tak jedzie. Boże, Boże, jak jedzie. Lasek! Sieniawa! Raba Wyżna! Ani się obejrzysz, jużeś tu. A wszędzie tak ładnie...

Słoneczko świeci, świeci wysoko, drzewa i lasy zielone, potoki bulgocą, a my — jedziemy! Tak nam dobrze, wesoło. Konduktor też jest wesoły i dobry. Bo jak niema być wesoły, skoro, jak pan organista opowiadał, on ciągle tak jedzie — za darmo, jeszcze mu płaca za to.

— Chabówka!

Powiadają, że trzeba się przesiadać. — Bierzemy zawiniątka i wychodzimy. Trzymamy się pana organisty. A pan organista nic sobie z tego nie robi. — Znowu kręci papierosa i ogląda się dokoła, jak na swojej oborze. A my to już nie wiemy gdzie patrzyć. Stacya wielka, budynek szeroki, tu i tam chodzą panowie i panie. Panowie weseli, panie takie śliczne, prześliczne.

— To są podróżni — powiada nam pan organista.

Podróżni, patrzymy na ich buty, a buty niezabłocone lśnią, jak szkło na słońcu. Odziani są tak ino, jakby przed izbę wyszli. Tacy to są podróżni. Wszyscy jadą koleją. A tu wyszli, bo tu trza przesiadać.

Nagle skądś zafuczała nowa kolej. Jak gwizdnie— wszyscy chwycili za tobołki i kuferki i wio ku niej. Zatrzymała się, a pan organista odrazu ją poznał i powiedział, że to będzie teraz nasza.

— A tą drogą, którą przyjechała ta kolej, można zajechać — powiada pan organista — do Nowego Sącza, a nawet do Lwowa i dalej.

I dalej... Gdzież jeszcze dalej jechać, jak się już jest we Lwowie? Ale pan organista człowiek światowy. On wie, gdzie—jego to tylko nic nie obchodzi.

Jedzie się — powiada pan organista — przez Mszanę Dolną, Limanowę, w Nowym Sączu można zostać lub skręcić do Tarnowa albo do Krynicy — można jechać dalej, na Lwów, gdzie kto chce...

Gdzie kto chce!.. Boże mój — gdzie kto chce... Żeby to człek był starszy, a miał pieniądze, albo żeby był konduktorem! Toby wtedy jechał i jechał całe życie. W Nowym Sączu skręciłby do Krynicy albo do Tarnowa, albo też pojechałby wprost na Lwów i dalej...

Jedziemy. Z okna widać, że ludzie tu już inni. I domy inne i obejścia i krowy na pastwiskach i pasterze inni. I czem dalej jedziemy, inny jest świat. W Suchej powiada pan organista, że stąd można jechać do Żywca, a nawet na Śląsk, z Kalwaryi jeszcze gdzieindziej i tak co pewien czas wiodą drogi w różne nowe światy.

Wreszcie Kraków!

Z Krakowa można jechać na wszystkie strony świata. Stąd jedzie się do Moskali, do Niemców, do Francuzów, do Ameryki — wszędzie, wszędzie. Ale pana organistę nic nie obchodzi. Kręci sobie papierosa i woła nas, mnie i Jędrka, żebyśmy się spieszyli. A my chcemy jeszcze postać na dworcu i popatrzyć na te wielkie, sapiące koleje, co cały świat zjeździły i cały świat objadą nieraz, nieraz. Boże, jakie to koleje szczęśliwe...

A pan organista znów nas woła. Jego już nic nie obchodzi. Powiada, że się spóźnimy do tego egzaminu. No i musimy już iść, musimy już iść w wielkie ulice miasta Krakowa, a koleje pojadą sobie w świat, przez sto miast, przez tysiąc wsi pojadą sobie daleko i wrócą i znów pojadą.

Boże, jak to wszystko nic a nic nie obchodzi pana organistę!...

I. Wystawa „Niezależnych“.

Wojowniczo brzmią słowa p. Włodzimierza Tetmajera, wypowiedziane w przedmowie katalogu wystawy obrazów i rzeźb t. zw. „Niezależnych“; zapowiadają prawie, że rewolucyę w polskiej sztuce!... Uderzają bezwzględnie w dotychczasowe utarte sposoby urządzania wystaw dzieł sztuki; zamaszyście strącają łeb hydrze szablonu, rutyny, snobizmu i biurokratycznej krytyki; godzą w urzędowe i patentowane sądy i doskonałości i usiłują otworzyć na oścież wierzeje „myśli wolnej“, wpuścić na Parnas upośledzonych dotąd, gieniuszów nieznanych lub nieuznanych.

Przedmowa cała napisana „ogniem i siarką“, pełną jest zdań i myśli, grzmiących jak wystrzały, lśni od groźnych i otwartych sztychów szpady.

(Na wstępie winienem jednak zaznaczyć, że nie jestem żadnym opatentowanym, urzędowym krytykiem. W myśl więc przedmowy p. Tetmajera, pozwolę sobie na śmielsze nieco sądy, do czego p. Tetmajer krytykom „urzędowym“ prawa odmawia...)

Jak więc już powiedziałem, przedmowa zapowiada wiele, burzy jeszcze więcej. Brzmi to bardzo ładnie, usposabia dla „Niezależnych“ przychylnie: „Oto coś nowego, coś pewnie niewidzianego, może na prawdę coś rewolucyjnego — — w Krakowie“! — myśli poczciwy Krakowianin i sunie do budy pod teatrem.

Istotnie, w z a s a d z i e ma p. Tetmajer racyę, występując przeciwko rutynie w sprawach sztuki (co mu się jednak zdarza nie zawsze, że wspomnę niefortunną jego rolę w sprawie zburzonej baszty Kościuszki lub obecną awanturniczą wprost rolę w sprawie „ozdobienia“ krakowskiego rynku pomnikiem Kościuszki).

Zasada ta jednak, zastosowana doraźnie w praktyce, wykazała niezbicie, że huczek z jakim ją wypowiedziano i zastosowano, był zgoła niepotrzebny, a przynajmniej w stosunku do rezultatu, aż nazbyt szumny i głośny.

Wystawa „n i e z a l e ż n y c h“ nie tylko nie może sobie rościć zbyt wielkich pretensyi do uznania, ale wykazuje właśnie, że w stosunku do niej właśnie największą, prawie że dziś już urzędową, światową sławą cieszące się towarzystwo artystów polskich „S z t u k a“ na sławę tę najzupełniej zasłużyło, że ekskluzywność jego ma w praktyce najzupełniejszą racyę i że sztuka, reprezentowana przezeń jest wciąż jeszcze m ł o d ą i r e w o l u c y j n ą; że jedynie w niem, w towarzystwie artystów polskich „S z t u k a“, grupują się ci artyści, co sztukę polską godni są reprezentować w kraju i za granicą.

Wystawa „niezależnych“ wykazuje właśnie (i to jest jej rzetelną zasługą!), że nie te „uznane“ i „patentowane“ wielkości, przeciwko którym w przedmowie swej p. Tetmajer występuje, lecz właśnie o n i j e g o „n i e z a l e ż n i“ hołdują w praktyce utartej i rzemieślniczej rutynie.

Aż mdło się robi na widok tych paruset malowideł, okrywających ściany grunwaldzkiej budy pod teatrem. Malowidła te nieszczęśliwe powstały chyba w dusznych i ciemnych pracowniach, co nigdy słońca ni powietrza nie widziały. Pejzaże malowane z pamięci wedle raz przyjętej recepty, tony żółte, buraczkowe, bure, zgniłe, przygasłe i martwe, świadczyć mogą tylko o nieudolności lub daltonistycznym na świat poglądzie, wysiłki zbyt często litość budzące; oto ogólny, przeciętny charakter tej r e w o l u c y j n e j w y s t a w y „n i e z a l e ż n y c h“(!).

Istotnie — ogół tych prac usuwa się z pod wszelkich estetycznych wymagań i wartości. „niezależnym“ jest od wielkiej, szczerej sztuki, bo do sztuki z a l i c z y ć g o w o g ó l e n i e p o d o b n a. A tych kilka czy kilkanaście dzieł wybitnych, wartościowych (jak autoportret i „Faun“ Malczewskiego, jak pejzaże Weissa, kwiaty Grotta, autoportret i pejzażowe studya Nowakowskiego, pejzaże Kamockiego i Talagi studya mórz Podgórskiego, rzeźby Dunikowskiego nie są wstanie tego ogólnego wrażenia wystawy osłabić, toną bowiem w tej istnej powodzi „kiczów“ banalnych i niepotrzebnych.

I w końcu widz musi sobie zadać pytanie: jaki był cel tej wystawy? Poco tyle wysiłku, tyle słów szumnych rzucono nadaremnie?... Wszak ci z pośród wystawców w budzie pod teatrem, co godni są miana a r t y s t ó w, ci mają prawo wstępu i na wystawy Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych i Towarzystwa artystów polskich „Sztuka“...; ci zaś inni — —? To trudno: w sztuce ostać się winni i mogą tylko ci, co mają mocny i szczery talent; dla innych miejsca tam niema.

I jeżeli p. Tetmajerowi wolno zaliczać do dzieł sztuki malowidła pp. Leona Kowalskiego, Męciny Krzesza, Wodzinowskiego, Miendówny lub innego jakiegoś Styki, to mnie jednak wolno o tych malowidłach mieć sąd zgoła odmienny i wolno mi ten sąd głośno wypowiadać. A mam jeszcze i to głębokie i szczere przekonanie, że ten mój sąd wytrzyma próbę chwili, szumnych i wojowniczych słów i reklamowanych krzykliwie wystaw...

Mówi się dziś tak wiele o wysokiej polskiej kulturze, o wielkiej i bogatej sztuce polskiej. Istotnie, jeżeli na ilość dzieł sztukę polską mierzyć zechcemy, to ci, co ją b o g a t ą zwą, mają racyę. Inaczej jednak wypadnie sąd, gdy zważymy dzieł jakość; a chyba czas już dziś, żebyśmy wyższą i coraz wyższą miarę do j a k o ś c i przykładać poczęli...

Widz.

FELIKS GWIŻDŻ.

POTOK.

Rwie, grzmi, pędzi radośnie, jak ogier po łące,
Rży bulkotem srebrzystym, po kamieniach dzwoni,
Jak te dzwonki na hali pogodnie dzwoniące. —
Pędzi, wraca, ucieka i sam siebie goni.

Znów zakręca: tu szumią nieskoszone trawy,
Tutaj słońce się kładzie w południa spiekotę
I z potokiem, jak Pan Bóg dobry i łaskawy,
Bawi się w pianki złudne, w zwiewne tęcze złote.

Dalej — dalej! Rwie potok, już mija polany,
W słońcu pławi się cały, znów w mroku bulkoce,
Mija las kosodrzewin — śpiewa jak pijany, —
Dnie idą, idzie potok, idą jasne noce...

Zapatrzyły się w radość młodego potoku
Smigłe smreki, co stoją nad brzegiem i rosną;
Zda się, zejdą za chwilę ze skalnego stoku
I polecą z nim wszędzie, obłąkane wiosną.

Zapatrzyły się w radość młodego potoku
Nie znające radości moje smutne oczy — —
I jakgdyby ktoś rzucił na mnie czar uroku,
Jąłem krzyczeć, że potok ten w przepaść się toczy.

Niefortunne rewelacye.

Ustęp mowy ekscelencyi dr Bilińskiego, wygłoszonej przed tygodniem w Rzeszowie, w którym wspomniał on, iż jakiś młody człowiek ofiarował mu dokumenty obciążające dr Głąbińskiego w sprawie Wetzlera, których on nie przyjął — wywołał niespodziewane następstwa. Otóż uczuł się nim dotknięty dr Bernard Scharlitt, który też natychmiast wystąpił w „Kuryerze Lwowskim” z nowemi rewelacyami. Twierdzi on, że nie on zgłaszał się do eksc. Bilińskiego w tej sprawie, lecz, że dr Biliński przez p. Stapińskiego zaprosił go do siebie i nakłaniał do ostrej kampanii przeciwko dr Głąbińskiemu — w zamian za co p. Stapiński miał mu nawet przyrzec mandat poselski.

Rzecz najzupełniej zrozumiała, że rewelacye te wprawiły w szał radości „Słowo Polskie“. Bije też ona z nich kapitał przeciwko dr Bilińskiemu i p. Stapińskiemu, usiłując przedstawić dr Głąbińskiego jako ofiarę niecnej intrygi.

Organ wszechpolski zapomina o tem, że rewelacye p. Scharlitta sprawy Wetzlera, jako takiej absolutnie nie dotyczą, i roli jakiej w niej odegrał dr Głąbiński nawet nie... upiększają. Jeśli więc kto to organ wszechpolaków miałby wszelki powód nie wskrzeszać sprawy tej na nowo.

Co się zaś tyczy rewelacyi p. Scharlitta to szczerze nad niemi ubolewać trzeba. Jedynym ich efektem jest, że utrudniają one walkę z wszechpolakami. Przypuszczamy też, że p. Scharlitt sam dziś ubolewa, iż rozgoryczeniu swemu z powodu doznanego zawodu pozwolił się unieść aż do dania nowej broni do ręki ludziom, których do niedawna sam uważał za swoich przeciwników.

Dr. Głąbiński prostuje.

(*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*).

Wiedeń. Dr. Głąbiński, oburzony pogłoskami, jakoby z powodu swej kuracyi nie brał już udziału w posiedzeniach Rady ministrów, polecił „wydziałowi prasowemu“ swej kancelaryi natychmiast wieści te sprostować, bo mogłyby przecie źle oddziałać na wynik wyborów w Galicyi. Jak słychać, dr. Głąbiński nosił się z zamiarem dania obszernej odpowiedzi na ostatnie rewelacye ekscelencyi dr. Bilińskiego w Rzeszowie, przyczem ze swej strony chciał odsłonić nie jedną tajemnicę z czasów swej prezesury w Kole i z czasów ministerstwa dr. Bilińskiego. Gdy się o tem dowiedział baron Bienerth, użył całego swego wpływu, aby odpowiedzi tej niedopuścić. Baron Bienerth miał się przytem w poufnem swem Kole wyrazić, że nie może na to zezwolić, ponieważ dr. Biliński może być jeszcze mężem przyszłości i jako taki bardzo potrzebnym rządowi, podczas gdy dr. Głąbiński stanowczo już należy do przeszłości i rolę swoją polityczną całkowicie już odegrał.

Z teatru.

„Synowa ze suteryn“ sztuka w czterech aktach ze śpiewami i tańcami przez Stefana Turskiego.

W sobotę wystawił Teatr ludowy po raz pierwszy sztukę p. t. „Synowa ze suteryn“ pióra autora „Zuchów krowoderskich“ p. Stefana Turskiego. Osnowa utworu opartą jest na stosunkach lokalnych krakowskich; pełno tu dowcipów aktualnych, alluzyi do spraw bieżących w Wielkim Krakowie, humoru bezpretensyonalnego, a pogodnego. P. Turski wykazał wielką znajomość psychiki niższych warstw krakowskich, co jest dostatecznym atutem, aby stać się ulubieńcem publiczności, uczęszczającej do Teatru Ludowego. Jedno tylko da się zauważyć przy „Synowej ze suteryn“: znać tu bardzo wiele reminiscencyi ze „Zuchów krowoderskich“. To obniża w znacznym stopniu wartość sztuki, bo nawet melodye niektóre z „Zuchów“ powtórzone usłyszeliśmy w „Synowej“. Na ogół jednak jako wiązanka motywów lokalnych, opracowana nie bez talentu, ma sztuka zapewnione powodzenie.

Grano rzecz starannie. W pierwszym rzędzie wymienić musimy p. Kolmanownę, która dała znakomity typ charakterystyczny i zachwycała widzów świetną maską stróżowej. P. Turski, p. Karbowska, p. Orwicz, p. Roland, p. Bończa jak i wszyscy inni zresztą zestrajali się w całość barwną i pełną życia. Autorowi wręczono po trzecim akcie bukiet i wieniec.

Szczegółowe sprawozdanie ze sztuki sobotniej znajdą czytelnicy w „Gazecie krakowskiej“.

Ze sportu.

D. G. C. — Cracovia 5:0.

Deutscher Fussballclub z Pragi jest dziś jednym z pierwszych klubów kontynentu o czem zresztą świadczą zawsze wyniki jego spotkań. Siedmiu graczy reprezentatywnych, a i reszta na miarę bynajmniej nie niższą, w tym składzie, pod względem doboru fizycznego przepięknym i dawno już ustalonym— to wszystko pozwala im utrzymywać się na wyżynie, której świadectwem są nierozegrane matche z Englisch Wanderers i Celtic'iem, oraz zwycięstwo nad Boldclubbem z Kopenhagi.

Samym wyglądem swoim zrobili wrażenie imponujące, podniesione pięknym strojem, barw swoich (niebieskich z orłem na piersiach). Znani na tylu placach sportowych nie zawiedli wcale publiczności. Zmiana prawego łącznika Williego na Traubego oraz lewego backa, którym był Otto, nie wchodzi w rachubę, gdyż klasa zastępców usprawiedliwiała zupełnie wstawienie ich do drużyny. Merr I i Kurpiel, których sława jeszcze bardziej wzrosła od matchu z Węgrami ściągali na siebie oczy wszystkich.

Skład Cracovii ten sam, co w całym bieżącym sezonie. Sędzia — najlepszy z widzianych — p. Komar. Stosunek do pauzy 4 : 0, jest wyrazem zbyt małym przewagi D. F. A., których udziałem była gra w całej tej połowie z wyjątkiem kilku ataków Cracovii. Ta ograniczała się do obrony, gra z jej strony była chwilami zamknięta, podobnie jak znane z tego matchu z Pogonią w zeszłym roku. Gra klasy drugiej, a nie pierwszej. Napad nieudolny, lewe skrzydło i prawy łącznik ten ostatni ze sławą największą matchu, dał jej odejść od siebie daleko. Pomoc chwilami niezła, chwilami nieruchawa i opieszała, backi nieobliczalne, jeden tylko bramkarz grał zupełnie dobrze. — Po Sportbrüderach i Reprezentatywnej wymaga się od Cracovi utrzymania pierwszej klasy, którą tak pięknie uzyskała. Trzytygodniowego braku treningu nie mógł wynagrodzić match z Nemzeti, który jedynie tempem pokrywał brak formy, tak wczoraj widoczny. Wczorajszy wynik nawet niezbyt niekorzystny, był jednak wobec gry jeszcze bardzo szczęśliwy. To też pięć bramek wczorajszych nie jest bynajmniej ujmą, lecz gra, od której wszyscy wymagali czegoś równorzędnego z poprzedniemi wynikami. Zawód spotkał wszystkich. Dzisiejszy match powinien go wynagrodzić. Młoda drużyna, która w tak krótkim czasie wybiła się na stanowisko wyższe nad lata jej istnienia, może znaleźć na tyle siły, żeby zrehabilitować się za jedną grę nieudolną. Tembardziej, że już w drugiej połowie zaczęto atakować, a chwilami nawet wcale silnie i groźnie. Gra ostra ukrócona przez sędziego była fair. P. Komar wywiązał się znakomicie.

Od wydawnictwa. Do tych P. T. Abonentów naszych, którzy zalegają z uiszczeniem zaległej prenumeraty, zwracamy się z uprzejmą prośbą o uregulowanie przedpłaty po otrzymaniu tego numeru, gdyż w razie przeciwnym będziemy zmuszeni wstrzymać dalszą wysyłkę pisma.

Na liczne zażalenia telefoniczne, że nie wysyłaliśmy pisma do niektórych P. T. Prenumeratorów naszych, zaznaczamy, że czyniliśmy to jedynie z powodu nieuiszczenia zaległej przedpłaty.

KRONIKA.

Z niedzieli. Pierwszy dzień Świątek Zielonych minął cały łagodnie i pogodnie; panował niepodzielnie nastrój świąteczny, spotęgowany urokiem prześlicznej niedzieli, pierwszej z czerwcowych. Ranek czarujący wywabił mnóstwo Krakowian na wycieczki na Bielany, do Woli Justowskiej, na Skały Panieńskie. Mnóstwo przejezdnych, między innymi grupa Ślązaków, zwiedzały, korzystając ze świąt, prastary gród krakowski. Jeśli rano stanowiło bardzo korzystne preludyum co do pogody całego dnia, to popołudniu omal że nie chciało urządzić frondy; silny wiatr napędził mnóstwo chmur, tak, że lada chwila groziła ulewa. Dzień jednak minął spokojnie, pozwalając Krakowianom wywczasować się z zadowoleniem „usque ad finem“. W każdym razie wiatr popołudniowy zaznaczył swoją „działalność“ o tyle, że owiał Krakowian w formalne tumany kurzu; wina to zdaje się gospodarki miejskiej i p. Lea, który zdaje się, jak widać, na starą znajomość Krakowa z Opatrznością i przypuszcza, że lekki deszczyk łacniej usunie tumany kurzu, zalegające ulice miasta aniżeli funkcyonaryusze p. Nowotnego. Zresztą tak p. Leo, jak i jego organy świątkują nietylko w czasie Zielonych Świątek. A teraz wybory...

Zgromadzenie przedwyborcze służby i funkcyonaryuszów miejskich. Wczoraj odbyło się przed południem zgromadzenie służby i funkcyonaryuszy miejskich w sali obrad Rady miejskiej w Magistracie. Przybyło około 400 wyborców. Przewodniczył p. Szkaradek, zagaił zaś zgromadzenie p. Język, przedstawiając zgromadzonym ważność obecnych wyborów.

Po skończonem przemówieniu p. Języka wstąpił na mównicę p. prezydent dr. Leo, po nim kolejno przemawiali dr. Doboszyński, p. Petelenz i inż. Zieleniewski, wszyscy jako kandydaci na posłów wygłosili swoje creda polityczne i obiecali, że będą dążyć do poprawy bytu klasy rękodzielniczej do wprowadzenia w czyn budowy tanich mieszkań do solidarności i przewrócenia znaczenia Koła polskiego w Wiedniu, do umożenia drożyzny w kraju i wiele innych rzeczy.

(Pan prezydent raczył! nawet p. Szkaradkowi i innym rękę podać). Po skończeniu i wypowiedzeniu się przez wszystkich kandydatów, zgromadzeni uchwalili rezolucyę następującą:

1) Zgromadzeni uważają Koło polskie za jedyną ostoję i silne zastępstwo interesów narodowych, a solidarność Koła za największą jego siłę w walce o byt narodowy.

2) Głosować będą tylko na tych, którym solidarność Koła leży na sercu.

3) Nietylko będą głosować, ale dołożą wszelkich starań, aby kandydaci narodowi wyszli z urny i pracowali na niwie narodowej.

Nieudałe zgromadzenie. Zwołane na wczoraj popołudniu zgromadzenie przedwyborcze certyfikatystów wojskowych do sali obrad Rady miejskiej w Magistracie nie odbyło się, gdyż prócz kandydatów pp. Dra Leo, Dra Doboszyńskiego, Petelenza i inż. Zieleniewskiego, oraz kilku zaproszonych nikt się nie zjawił. Kandydaci wycofując się z honorem usprawiedliwiali brak kompletu wyjazdem do Bielan, Świętami Zielonymi i postanowili zwołać ponownie zgromadzenie na czwartek o godz. 7 wieczór z tym samym porządkiem dziennym.

Nominacya. Cesarz nadał b. lekarzowi wojskowemu p. Jakóbowi Baschkopfowi tytuł i charakter lekarza sztabowego z uwolnieniem od taksy.

Towarzystwo budowlane w Krakowie. Jak się dowiadujemy, zawiązało się w ostatnich czasach w Krakowie Towarzystwo budowlane, stow. zarejestrowane z ogr. poręką, które opracowuje dla swoich członków plany, przedmiary, kosztorysy, a także budowle betonowe, tudzież kanalizacye; załatwia pomiary i oszacowania realności tak w Krakowie, jak i na prowincyi, udziela członkom opinii w sprawie kupna parcel i budowy domów. Specyalnością Towarzystwa jest budowa domów czynszowych i luksusowych, tudzież budowli fabrycznych z oddaniem aż do klucza przy wszelkich możliwych ułatwieniach finansowych.

Robotami poruczonemi Towarzystwu, kierują tak wytrawni architekci i budowniczowie, jak Bronisław Górski, Alfred Kramarski, Rajmund Meus, Jan Meyer i Józef Wilczyński, co stanowi zupełną rękojmię, że prace tej instytucyi będą pod każdym względem pierwszorzędnej jakości.

Tow. powstało dzięki inicyatywie rad. dr. Meiselsa.

Pożytecznemu ze wszechmiar Towarzystwu życzymy na tej drodze: Szczęść Boże!

Wystawa ruchoma z Królestwa Polskiego. Statek z ruchomą wystawą wyruszył przed kilku tygodniami z Warszawy i zatrzymuje się we wszystkich miejscowościach położonych nad Wisłą a zatrzyma się 6 bm. w Krakowie. Wystawa obejmuje tysiąc wzorów przemysłu fabrycznego, a prócz tego pomieścić się może na statku 1500 osób. Wstęp na wystawę wynosi 50 h., dla młodzieży szkolnej po 30 h. Po bilety grupowe należy zgłaszać się do biura Towarzystwa Technicznego (II p) lub do biura Wystawy (parter) ul. Straszewskiego l. 27.

Popis szkoły śpiewu St. Bursy odbędzie się w najbliższą środę w sali Starego Teatru.

Uczelnię sympatycznie znanego śpiewaka, reprezentować będą uczniowie, z których niektórzy zyskali już oklaski i życzliwą ocenę z powodu występów w przygodnych imprezach estradowych. Na program interesującego wieczoru składają się pieśni, arye operowe, ensamble oraz popis chóru mięszanego.

Pierwszy występ szkoły sympatycznie i zaszczytnie znanego śpiewaka, występujący in corpore obudzi też niewątpliwie szerokie zainteresowanie.

Nieszczęśliwy wypadek zdarzył się dziś w nocy na rogu ulicy Karmelickiej a Dunajewskiego koło kawiarni Bisanza. Ks. Kanonik Duszyński idąc ulicą doznał udaru mózgowego. Zawezwane pogotowie ratunkowe odwiozło nieszczęśliwego staruszka liczącego 72 lat do domu, oddając go opiece OO. Karmelitów.

Usiłowane samobójstwo. Dziś zawezwano pogotowie ratunkowe do mężczyzny, którego wydobyto z nurtów Wisły. Po przyprowadzeniu niedoszłego samobójcy do przytomności, dowiedziano się, że nazywa się Gwiazdowski Jan i będąc w stanie podpitym, chciał sobie odebrać życie. Pogotowie odstawiło Gwiazdowskiego pod „telegraf“, aby tam mógł w skupieniu ducha i spokoju wrócić do zupełnej równowagi.

Nożownictwo. Gądzik Wojciech ugodził podczas bójki na placu Wolnicy Jagochę Henryka nożem w okolicę łopatki lewej. Ranę opatrzyło pogotowie ratunkowe.

Goguś. Henryk Klinger, zamieszkały w Skotnikach doniósł policyi, że przyjęty przez niego na noc Błażej Lewicki skradł kilka ubrań, wyrządzając mu tem znaczną szkodę. Za sprawcą poszukuje policya.

Opilstwo oraz publiczne zgorszenie. Ludzie przechodzący wczoraj przez planty obok kawiarni Janikowskiego, byli świadkami nieprzyzwoitych scen, wywoływanych przez Karola Kudyka, będącego w stanie nietrzeźwym. Kudykę osadzono w areszcie.

Pobicie. Stanisław i Stefan Szewczyk napadli wczoraj w Podgórzu na Annę i Michała Suterów, i ich sąsiada Józefa Fronia i pobili ich. Awanturników aresztowano.

Specyalista kieszonkowy. Policya aresztowała wczoraj Michała Prokopika szewca z Zatora, znanego „specyalistę kieszonkowego“ podczas operacyj, jakich dokonywał w kościele N. P. Maryi.

Awantura. Ul. Powiśle była wczoraj widownią wielkiej awantury, którą wywołał Stanisław Kos, pokaleczywszy Piotra Piekarza za to, że ten uderzył matkę jego Wiktoryę w twarz. Wywiązała się bójka, którą uspokoiło dopiero przybycie aż sześciu policyantów, odprowadzając całe towarzystwo pod „telegraf“.

Kradzież. Mendel Spielman zamieszkały w Podgórzu przy ul. Skawińskiej 98 doniósł policyi, że ktoś skradł mu mimo lat pierzynę wartości 160 koron.

Zawalenie się domu. Z Kijowa donoszą: Na pewnym budującym się domu zawaliło się szóste piętro. Część gruzów spadła na stojący obok mały dom drewniany, który uległ zupełnemu zgnieceniu. Ze znajdujących się w nim mieszkańców jeden student zabity na miejscu, a 7 osób ciężkie odniosło rany.

Samobójstwo z powodu odmówienia urlopu. Z Berlina donoszą, że szeregowiec w tamtejszym pułku ułanów gwardyi, niejaki Michacki odebrał sobie życie, ponieważ odmówiono mu urlopu na święta.

Dyablik drukarski spłatał nam figla na pierwszej zaraz stronie. Dzisiejszy numer „Gazety Poniedziałkowej“ zawiera bowiem nie jak mylnie podano 28 ale 26 stron.

Telegramy

Kandydatury parlamentarne.

(*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*).

Sytuacya w okręgu Jasło-Gorlice.

Gorlice. Zdawało się przez chwilę, że pojawienie się na widowni syonistów oraz rozpasana wprost demagogiczna agitacya Dr. Maryana Starzewskiego, który woził po powiecie naszem palaczów i maszynistów kolejowych celem podburzania ludzi przeciwko prof. Jaworskiemu, nie pozostanie bez skutku i że osłabi również widoki kandydatury prof. Jaworskiego. Gdy atoli wyborcy usłyszeli mowy prof. Jaworskiego, jego znakomite wywody polityczne, cała ta agitacya wszechpolsko-syonistyczna spotkała się z jednem wielkiem oburzeniem i potępieniem. Dziś wszyscy sposób walki Dr. Starzewskiego uważają za wprost niegodny, a nie braknie i takich, którzy grożą mu **dosadną odprawą.**

Gorlice oczekują dziś wieści z Jasła, gdzie ma się odbyć zebranie nauczycieli i rękodzielników celem przedłożenia prof. Jaworskiemu ich postulatów. Skoro tam zapadnie decyzya nastąpi wielka wspólna manifestacya całego okręgu wyborczego na rzecz kandydatury prof. Jaworskiego, a zwracająca się stanowczo przeciwko jego przeciwnikom.

Jasło, 4 czerwca. Dziś o godzinie 12 w południe odbył się tu wiec nauczycielstwa ludowego z okręgu 24-go zwołany celem przedstawienia prof. Jaworskiemu postulatów nauczycielskich. Prof. Jaworski powołał się na swoją działalność w Sejmie, gdzie na jego wniosek uchwaloną została ostatnia regulacya płac nauczycielskich i oświadczył, że i nadal popierać będzie uzasadnione żądania nauczycielstwa, prosił jednak, aby pozostawiono mu swobodę co do środków i dróg do osiągnięcia tego celu. — Zebrani nauczyciele przyjęli jego mowę długo niemilknącymi oklaskami.

Tego samego dnia o godzinie 3 odbyło się w stowarzyszeniu „Gwiazda“ zebranie rękodzielników również celem przedstawienia prof. Jaworskiemu ich postulatów. Prof. Jaworski zdeklarował się jako gorący zwolennik spółek, stowarzyszeń i kas rękodzielniczych, uznał konieczność zakładania szkół zawodowych i oświadczył, że przed każdą ustawodawczą pracą zasięgać będzie opinii swoich wyborców rękodzielników. Zebranie nagrodziło wywody mowcy grzmiącymi oklaskami i uchwaliło jednomyślnie jego kandydaturę poczem wybrało komitet dla przeprowadzenia tej kandydatury.

Jasło. Dziś odbył się tu zjazd przełożeństw wszystkich gmin izraelickich z okręgu wyborczego 24-go. Zjazd ten wśród oklasków uchwalił kandydaturę profesora Jaworskiego i postanowił popierać ją wszelkiemi siłami.

Sukcesy radcy Germana

Nowy Sącz. Wszelkie intrygi i usiłowania jawne i tajne, ażeby osłabić widoki kandydatury radcy Germana najhaniebniej spełzły na niczem. Nowy Sącz, Stary Sącz, i Nowy Targ zgodnie dziś tak ma przekonanie o wielkiej doniosłości tej kandydatury, że wszystkie rzekome telegramy Słowa polskiego, najmniejszego już ani tu, ani gdzieindziej nie wywołują wrażenia. Telegramy te noszą zresztą tak wyraźne piętno fabrykacyi redakcyjnej, iż na pierwszy rzut oka każdy kłamliwość dostrzedz musi. Beznadziejność wszelkiej akcyi przeciwnej kandydaturze Dra Germana zrozumiał już także Dr. Silbermann, to też jak słychać uznał już swoją akcyę za chybioną i zamierza się w godny sposób wycofać z tej fałszywej sytuacyi.

Szanse dr. rad. dw. Rosnera.

Tarnobrzeg. Z całego okręgu wyborczego nadchodzą tu wieści pomyślne dla kandydatury radcy dworu Dr. Rosnera. Widoki jej wzrastają z dnia na dzień mimo wojowniczej agitacyi ks. Pastora, który wraz z wszechpolakiem Chciukiem w sposób nie licujący z godnością kapłańską zwalcza Dr. Rosnera. Jedynie w Sokołowie kandydatura Dr. Rosnera nie znalazła jeszcze ogólnego uznania. Mieszkańcy tego miasteczka bowiem, namówieni do tego przez ks. Pastora, żądają od Rosnera, ażeby im natychmiast wyjednał utworzenie osobnego starostwa w Sokołowie. Ponieważ dr. Rosner, jako człowiek poważny i uczciwy takich przyrzeczeń — któremi zresztą na wszystkie strony sypie ks. Pastor i jego kolega Chciuk, dać nie chce, mieszkańcy Sokołowa w dziwnej naiwności zachowują się jeszcze opornie. Podobnie ma się rzecz w miejscu zamieszkania ks. Pastora w Leżajsku. Poza tem cały powiat jest za Dr. Rosnerem. Dziś w mieście wszystkie komitety zajęte były pracą na rzecz jego kandydatury. Zapadły też uchwały, aby wszyscy wyborcy ławą głosowali na niego.

Sytuacya w Jarosławskiem.

(*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*).

Jarosław. W okręgu wiejskim Jarosław-Cieszanów toczy zawziętą walkę o mandat większości kandydat frondy ludowej Kazimierz Jampolski, z dr. Włodzimierzem Kozłowskim. Szanse pierwszego wzrastają z każdym dniem, drugi nie znajduje szerszego poparcia w sferach włościańskich. Wynika to jasno z licznie odbywających się wieców. O mandat mniejszości (ruski) ubiegają się dr. Longin Cegielski i sędzia Jar. Sawczak z Cieszanowa. Ks. Stańczak (moskalofil) podobno z rozkazu biskupa cofnął kandydaturę. Na wiecu w Radymnie dr. Kozłowski spotkał się z ostrą krytyką swej działalności poselskiej ze strony kilku mowców.

Porażka dra Wróbla.

(*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*).

Chrzanów. Szanse kandydatury radcy Zarańskiego wzmagają się z dnia na dzień. Ogół wyborców dochodzi już do przekonania, że lepszego posła nigdyby znaleźć nie mógł i że wybór dr. Zarańskiego będzie dobrodziejstwem dla powiatu. Wobec tego komedyanska kandydatura dra Wróbla, czyli jak tu już chłopcy na wsi wołają „Wróbla w sukmanie“, traci zupełnie grunt pod nogami. Wszyscy też przypuszczają, że dr. Wróbel zwąchawszy, na co się zanosi, jeszcze przed 13 b. m. cichaczem wycofa się zupełnie z beznadziejnej dla niego walki wyborczej.

Stan zdrowia cesarza.

(*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*).

Wiedeń. Jak się nasz korespondent dowiaduje z najwiarygodniejszego źródła, stan zdrowia cesarza nie jest obecnie gorszym, przeciwnie, nawet nieco lepszym niż był przed wyjazdem do Gödöllö. To też na razie o powierzeniu zastępstwa w pewnych sprawach arcyksięciu Franciszkowi Ferdynandowi ani mowy niema. Zdaje się przy tem, że przeciwko takiemu zastępstwu usposobiono cesarza na Węgrzech, gdzie jak wiadomo, arcyksiążę Franciszek Ferdynand nie cieszy się większymi sympatyami. Obecnie cesarz zajmuje się wszelkiemi sprawami rządowemi, sam wszystko bada i sam załatwia każdą, choćby najdrobniejszą sprawą. Lekarz przyboczny cesarza dr. Kerzl, oraz prof. Neusser, są wprost zaniepokojeni tą gorliwością dostojnego swego pacyenta, bo może ona źle wpłynąć na cały jego stan zdrowia. Dla tego zalecają jaknajszybszy wyjazd do Lainz albo do Ischlu.

Wiedeń. Stan zdrowia cesarza jest w dalszym ciągu nadzwyczaj korzystny. Piękna pogoda i ciepło ostatnich dni doskonale oddziałały na kaszel cesarza, tak, że ustał już niemal zupełnie. Jak zapewniają, cesarz po oficyalnych dniach 5 i 6 czerwca uda się zaraz prawdopodobnie już 7 czerwca do willi Hermes w Lainzu na dłuższy pobyt.

Otwarcie testamentu Jana Ortha.

(*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej.*)

Wiedeń. Komisya, wyznaczona do publikacyi dwóch przez Jana Ortha, (arcyksięcia Jana) pozostawionych testamentów, doręczyła w sobotę oba te dokumenty cesarzowi. Jak słychać cesarz dokonał ich otwarcia wczoraj, o czem już komisyę rzeczoną zawiadomiono. Kiedy i w jakich rozmiarach cesarz zezwoli na ich publikacyę, dotychczas niewiadomo. Stronom interesowanym treść ich oznajmioną zostanie we wtorek.

Nowe rokowania czesko-niemieckie.

(*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*)

Wiedeń. Jak słychać w dobrze poinformowanych kołach, mają się już we wrześniu rozpocząć nowe rokowania ugodowe czesko-niemieckie. Wówczas też, stosownie do widoków tych rokowań nastąpi **reorganizacya gabinetu,** przy której dr. Głąbiński usunięty zostanie ze swego stanowiska, jeżeli to już przedtem nie nastąpi.

Ministerstwo kolejowe obejmie Niemiec, a jeden z członków Koła polskiego obejmie inną tekę, prawdopodobnie znów skarbu.

Zjazd T-wa nauczycieli szkół wyższych.

(*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*).

Lwów. Dziś rozpoczął się tu zjazd T-wa Nauczycieli szkół wyższych, przy licznym udziale członków. Jak słychać zasłużony prezes Tow. prof. Twardowski nie przyjmie więcej godności tejże, a urząd ten obejmie prof. Kallenbach.

Nauczyciel oprawcą.

(*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*).

Arad. Nauczyciel katolickiej szkoły ludowej w Zsili, chcąc ukarać ucznia, małego chłopczyka, usiłował go uderzyć trzcinką w rękę. Gdy chłopczyk ze strachu schował się pod ławkę, nauczyciel wpadł w taką pasyę, że kopał go nogami i uderzał go głową o piec żelazny, poczem bezprzytomnego pozostawił samego w klasie. Nazajutrz znaleziono chłopca tego z szkole martwego. Nauczyciela aresztowano.

Zmiana polityki w zaborze pruskim?

(*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*).

Berlin. W kołach hakatystycznych wielkie zaniepokojenie wywołała wiadomość, że obecny naczelny prezydent W. ks. poznańskiego, von Waldow, ma wkrótce ustąpić i że na jego miejsce ma być mianowany książę Karol Lichnowsky, właściciel dóbr Kuchelny na Śląsku pruskim i Hradyszcza na Śląsku austryackim (pod Opawą). Mianowanie naczelnym prezydentem prowincyi poznańskiej arystokraty oznaczało zawsze złagodzenie polityki antipolskiej i dlatego w kołach hakatystycznych obawiają się, że i teraz na taką zmianę się zanosi. Dotychczasowy naczelny prezydent poznański von Waldow, typowy pruski junkier biurokrata był mężem zaufania hakaty i zwolennikiem najostrzejszego systemu antipolskiego.

Książę Karol Lichnowsky uchodzi za człowieka przeciwnego wszelkim środkom ucisku i za stanowczego przeciwnika wywłaszczenia. Jest on przytem równocześnie poddanym pruskim i austryackim, a fakt, że jego właśnie opatrzono na to najwyższe stanowisko w Poznaniu, także z tego względu zwraca ogólną uwagę, tembardziej, że niema on za sobą zwykłej karyery administracyjnej.

W kołach polskich, zawiedzionych już tylekrotnie przy tego rodzaju zmianach, nikt już nie spodziewa się ulg znaczniejszych. Budzi się nawet obawa, że rządy księcia Lichnowskyego, który bezwątpienia nawiązałby stosunki z polską arystokracyą, mógłby znów rozbudzić po stronie polskiej szkodliwą politykę ugodową.

(Książę Lichnowsky jest potomkiem starej rodziny czeskiej, a nie polskiej. P. R.).

Cholera w Wenecyi.

(*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej.*).

Wiedeń. Uporczywe twierdzenia władz miejskich w Wenecyi, jakoby do tej chwili nie zaszedł tam żaden wypadek cholery, a tylko kilka cięższych wypadków biegunki, wywołują tu tem większe zdziwienie, ponieważ prywatne wiadomości, a także osoby, przybywające z Wenecyi zapewniają, że rzeczywiście stwierdzono tam nawet bardzo znaczną liczbę wypadków cholery.

Tak samo wychodzący w Tryeście słoweński dziennik „Edinost“ otrzymał w Wenecyi doniesienia o epidemicznem grasowaniu tam cholery. Te zaprzeczenia władzy miejskiej weneckiej są tem dziwniejsze, ponieważ inne miasta, w których zaszły wypadki tej choroby, bynajmniej ich nie zatajają, lecz donoszą o nich oficyalnie.

Mylne wieści o Hoffrichterze.

Wiedeń. Przed kilku dniami doniosło kilka pism że były porucznik Hoffrichter popełnił w ostatnim czasie zamach samobójczy, gdy nie powiodły mu się dwie próby ucieczki z więzienia. Obecnie oświadczają dotyczące władze, że wiadomość ta jest bezpodstawną. Z innej strony również donoszą, że Hoffrichter zachowuje się w więzieniu zupełnie poprawnie.

Sazonow omija Wiedeń.

Wiedeń. Fakt, że rosyjski minister spraw zagranicznych Sazonow, po odbyciu kuracyi w Baden zamierza spotkać się z kanclerzem niemieckim i odwiedzi także Paryż i Londyn — a zupełnie pominąć Wiedeń, nie wywołał tu żadnego zdziwienia. W Petersburgu wiedzą aż nadto dobrze, że rola, jaką Rosya pragnęłaby odegrać na Bałkanie, wywołać musi antagonizm Austro-Węgier, więc wszelkie porozumienie, co do tego uważają za wykluczone. Sazonow pragnąłby też dla tej roli Rosyi pozyskać znów dyplomacyę niemiecką, francuską i angielską. Jest jednakże rzeczą wątpliwą, czy w Paryżu i Londynie zgadzają się na to, ponieważ tam nie chcianoby znów w ten sposób popchnąć Austro-Węgier w objęcia Niemiec, jak się to stało po aneksyi Bośni i Hercegowiny.

Zlot „Sokołów“ bez zaburzeń.

(*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*).

Ołomuniec. Dziś odbył się tu pochód przez miasto „Sokołów“ czeskich z całego okręgu. Wzięło w nim udział około 2500 umundurowanych sokołów, oraz tłumy czeskiej publiczności. Mimo, że była to wprost imponująca demonstracya, nie przyszło podczas niej do starcia z Niemcami, ci bowiem wyjątkowo zaniechali wszelkich demonstracyj przeciwnych.

Ofiary awiatyki.

(*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*).

Rio de Janeiro. Awiatyk brazylijski Quaroz, który przedwczoraj spadł ze swoim aparatem ze znacznej wysokości, umarł z powodu odniesionych przytem ran i uszkodzeń wewnętrznych.

Zgon wybitnego muzyka.

(*Telegram wł. Gazety Poniedziałkowej*).

Wiedeń. W 80-tym roku życia umarł tu dziś prof. Gansbacher, jeden z najsławniejszych europejskich pedagogów muzycznych. — Do jego uczniów i uczennic zaliczają się między innymi Murywil, Demuth, Naval i inni.

Derby wiedeńskie.

(*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*).

Wiedeń. Na dzisiejszem derby przybył jako pierwszy do mety „Dealer“. — Totalizator płacił 42 za 10.

Z życia.

VI.

Chcąc zdziałać coś potrzeba stale pewnego natężenia bądź ciał, bądź myśli, więc pracy. Gdy myśl jest ostatnim wyrazem człowieczeństwa, tym najkunsztowniejszym tworem natury i kultury, zdawaćby się więc mogło i słusznie, że praca duchowa przy stosunkowo odpowiednich zdolnościach zawsze i wszędzie za siebie mówić będzie, że tylko n a n i ą ludzie oglądać się mogą, że ona sama wystarczy. Tymczasem tak nie jest. Gdy chodzi o dopięcie czegoś w t. zw. z o r g a n i z o w a n e m społeczeństwie, potrzeba prócz zalet własnych jeszcze czegoś więcej, a tem czemś jest p o p a r c i e. Różne są jego rodzaje i odcienia, najsilniejszem jej p o p a r c i e w i ę k s z o ś c i, najczęstszem znów, gdy o jednostkę dla jednostki chodzi, nigdy nieśmiertelna, a zawsze skuteczna p r o t e k c y a. I one to niestety bywają w s z y s t k i e m.

Weźmy ciała zbiorowe lub polityczne, i weźmy pod uwagę dwu kandydatów na tęsamą godność, z których niechaj jeden będzie genialnym, a opuszczonym, drugi mniej nawet niż przeciętnym homo, ale reprezentującym silną partyę — komuż godność ta dostanie się w udziale? Czy temu, coby dobrze, szlachetnie, mądrze postępując, dawał rękojmię produktywności w każdym kierunku, czyli też tamtemu, co tylko wie się o nim, że ma za sobą z góry konkretnie oznaczoną siłę? Naturalnie temu ostatniemu! Tosamo odnosi się do jednostki protegowanej przez wybitną osobistość. Jeżeli więc partya reprezentanta swego opuści, względnie sama na sile straci, albo jeżeli odpadnie owa wybitna protegująca persona, to eo ipso odpodają też wszelkie dane i kwalifikacye wysuniętego przez nich sztucznie na pierwszy plan dygnitarza i wtedy usuwa go się często ze spokojem i podobno z czystem sumieniem — z zajmowanej przez niego godności, obile odnośnik nie był na tyle przedtem ostrożnym, że obwarował się należycie, a dozgonnie. Tak bywa w ciałach radzieckich, prawodawczych, naukowych, rządach, instytucyach finansowych etc., etc. To jedna z wielu utartych praktyk życia.

VII.

Są pewne lokalno-polityczne ciała zbiorowe, które dążą stale do wyłączności, do monopolu w rządzeniu i to do tego stopnia, że jakkolwiek członkowie ich są przez ogół obywateli o — i wybieralnymi, to jednak tamci pragną nietylko wyeliminować w zupełności wszelaki wpływ tych swoich wyborców na sprawowanie swych czynności, nietylko otaczają się zbyt często nimbem wielkości, ale wykluczyć raz na zawsze i prawo i ochotę nawet do wszelkiej krytyki swej działalności a priori. Konsekwentnie ku temu celowi zdawna zdążając, wytworzyli oni specyalny rodzaj rutyny, prawie że szkoły treningu ogółu w bierności. To absolutyzm w konstytucyi, to kacykowstwo w autonomii.

A ogół? On nie wie czemu ma dziwić się pierwej i szuka na te sztuczki miana godnego, aczkolwiek ono leży jak w dłoni. To nic, że to wolno, bo to właśnie wielu „miarodajnym“ bywa na rękę, ale że to jeszcze uchodzi? Na tyle jest już w XX. wieku w środkowej Europie kultury, aby poznać się na środkach i ich celach. Otwieranie zaś na nie oczu, to nie wichrzenie, nie destrukcya koniecznością odporu tego co szkodliwe, choć tolerowane, co złe, choć nie karygodne. To praktycznie stosowana etyka.

VIII.

Butony!

Wielkie słowo, tak wielkie, iż niejedna kobieta tylko dla nich gotowa... iść zamąż. Bo też dla niejednej zamążpójście nie jest niczem innem, jak środkiem do dobrobytu.

Ktoby np. zagranicą społeczeństwo nasze po butonach jego płci pięknej rad sądzić, ten doszedłby do wręcz mylnego wniosku, że to najbogatsza z wszelakich tej nacyi.

Butony! A w domu? Dzieci sześcioro, na bucikach ich więcej łat, niźli na nie miejsca, zamiast rosołu woda gorąca, herbatą zwana, zamiast mięsa bułeczka z masełkiem i rzucone osłabionema złem odżywianiem dziecku dobre słowo: „uczyć się smarkacze!“ Ale na zewnątrz wszystko a la Pompadour. Cóż dziwnego? Przecież pani domu otrzymuje z tylu komitetów loteryi fantowych i bali na przeróżne cele dobroczynne listy z adresem: do Jaśnie Wielmożnej z takich a takich... A — noblesse oblige, zwłaszcza u nas!

IX.

Pan Alfred na Przeszłości Używalski sprzedał swą wieś. Sprowadza się więc z rodziną do miasta i kupuje przedewszystkiem... samochód. Nie iżby go tak bardzo pożądał, bo jak sam zwykł mawiać „nie ma bo, panie dobrodzieju, jak rysak w kłusie“, ale dlatego, aby pokazać się drugim. Przecież ma dorastającą córkę, toż „panie dobrodzieju czas jej już, coś tego owego, niby...“ Jeździ więc samochodem o ile możności po mieście tylko (gdyż człowiek jest jak wiadomo stworzeniem towarzyskiem!), pluje na bliźnich dymem, patrzy na nich z góry, trąbi, pędzi, cieszy się, gdy mu się „hołota“ na piechotę ustępuje. Samochód jest doskonały, przytem bardzo tani, bo jeszcze nie zapłacony. Więc pan Alfred myśli, jadąc w wolnych od trąbienia chwilach: „kpy, nie daliby mi go, gdyby wiedzieli, że długi wszystko zjadły!“ I dalej jedzie i dymi i trąbi, a ludziska rozstępują się, a posługacze po rogach ulic kłaniają mu się do ziemi... To życie.

Nadesłane.

(Za tę rubrykę Redakcya nie odpowiada).

Zanosi się na burzę!

Z przykrością dzisiaj zabieramy głos w tej sprawie, lecz zmusza nas do tego wzgląd na opinię publiczną, a bardziej jeszcze wzgląd na dobro publiczne.

W obecnej walce wyborczej miasto Kraków wyjątkowe zajęło stanowisko, wyjątkowe, niestety nie w dodatniem znaczeniu. Zdawaćby się mogło, że wir walki i namiętności wyborczej nie dotarł do murów Krakowa, że ominął go zupełnie. Wszędzie wre ruch, życie, bój wyborczy, wszędzie ścierają się hasła i prądy, tylko u nas w podwawelskim grodzie dotychczas rozwija się wszystko gładko jak z płatka, w najzupełniejszym *„ładzie i porządku“*.

Wszędzie już kandydaci przedstawiali się wyborcom, sondowali ich opinię, badali ich życzenia, a Kraków wciąż jeszcze czekał na tych, którzy w przyszłym parlamencie mają bronić jego i całego kraju interesów. Tygodnie mijały, a czekano napróżno...

Nareszcie w jednym dniu i za jednym rozmachem zjawiło się ich aż czterech...

Dały ich Krakowowi dwa komitety miejscowe, komitety, których geneza jest tak samo mało znana szerokim kołom wyborców, jak większa część ich członków. Komitety te nie pytały się też poprzednio wyborców o zdanie, nie badały ich życzeń i opinii, lecz z wysokości swej zakomenderowały: tych wybrać należy i kwita.

Zakomenderowały i dopiero wówczas poleciły swoim kandydatom przedstawić się publiczności.

Zakomenderowały — lecz głuchy pomruk chodzi po mieście, że s a m e t y l k o u s ł u c h a ł y — w y ż s z e j k o m e n d y.

O tej komendzie mówi się dziś głośno i z wzrastającem r o z g o r y c z e n i e m. — Zaznacza się ona wszędzie, na każdym kroku, we wszystkich sprawach miejskich, a wszystkie czynniki miejskie odgrywają wobec niej tylko rolę potulnych mameluków.

Stosunki, jakie się u nas pod tym względem wytworzyły, przybierają coraz bardziej formę wprost nieznośną. — Szemrze na to całe miasto, oburza się opinia publiczna, lecz tylko ta, podawana sobie z ust do ust, a nie ta, której wyrazem są rozmaite pisma krakowskie.

Lecz głuchy pomruk niezadowolenia zaczyna się zamieniać na otwartą b u r z ę. Rozmaite sprawy, które wyłoniły się we czwartek na posiedzeniu Rady miejskiej, a które doprowadziły do ostrego starcia, przebrały miarę cierpliwości cichej zawsze i uległej naszej publiczności.

Zanosi się na burzę i te na burzę bardzo gwałtowną, w której gromach odezwie się głośnem echem całe tłumione dotychczas siłą rozgoryczenie.

Codziennie dochodzą nas wyrazy tego rozgoryczenia, domagając się, aby nasze pismo przynajmniej wystąpiło z krytyką tych niemożliwych stosunków. — Przykro nam rzucać takie zarzewie w spokojne stosunki naszego miasta, lecz dłużej już milczeć nie będziemy mogli. Wzburzenie umysłów nie będzie się krępowało względami na wybory, odezwie się może przed trzynastym czerwca, a obejmie swoim wirem tak nasze miejskie sprawy wyborcze, jak i te sprawy, na które tak ciekawe światło rzuciła dyskusya czwartkowa w Radzie miejskiej.

Poruszając te sprawy my tylko spełniamy wolę opinii publicznej, której i nadal będziemy posłuszni.

W spwawie kandydatury prof. Sikorskiego.

„Gazeta wieczorna“ z dnia 1 czerwca 1911 przynosi następującą korespondencyę:

Kiedy przed czterema laty wyłoniła się w Krakowie na Nowym Świecie kandydatura prof. Sikorskiego, ogólne zdumienie ogarnęło wyborców innych okręgów krakowskich, gdyż kandydat był zupełnie w mieście nieznany. Pokazało się jednak, że choć nie znały go inne okręgi, nie było prawie na Nowym Świecie człowieka pełnoletniego i prawo głosowania mającego, któryby nie zawarł osobistej z kandydatem znajomości. Nikt się o nią nie starał, to prawda, ale nikogo, zacząwszy od stróża kamienicy w suterynie, do mieszkańca poddasza, nie ominął ten zaszczyt, aby go kandydat osobiście nie odwiedził, nie przedstawił mu się i nie poprosił o oddanie mu głosu przy wyborach. A wizyty te rozpoczęły się już z chwilą sankcyonowania ustawy o powszechnem głosowaniu, kiedy jeszcze komitetów wyborczych nie było i wogóle cicho było o kandydatach.

Tak wychodziwszy sobie głosy, złożywszy przytem dowód, że ma silne nogi, zdrowe płuca i wolną a nie przymuszoną wolę zostania posłem, zgłosił się prof. Sikorski do komitetu wyborczego demokracyi polskiej i przedstawiwszy się po raz pierwszy, jako zdecydo-

wany wyznawca jej programu (choć na krótki czas przedtem szukał zbliżenia ze stańczykami), prosił o zatwierdzenie kandydatury. Komitet znalazł się w trudnem położeniu; miał wprawdzie własnego na ten okręg kandydata, ale stanął poniekąd wobec *fait accompli*. Przekonawszy się zatem, iż p. Sikorski, dzięki swej wytrwałości, ma poważne szanse wyboru, przypuszczając wreszcie, iż jako profesor uniwersytetu ma warunki dogodnego pełnienia funkcyi poselskich, komitet zatwierdził i szczerze poparł jego kandydaturę. Dzięki temu prof. Sikorski znalazł się wkrótce w Kole polskiem.

Niestety, odrazu pokazało się, iż ów wybór „na wiarę" nie był szczęśliwy. Tężyzna prof. Sikorskiego w nogach nie udzieliła się jego głowie. W Kole nic nie znaczył, był zwykłym pionkiem, a ilekroć przyjechał do Krakowa i przemówił na jakiem zgromadzeniu, słuchacze zostawali pod przygnębiającem uczuciem wstydu, że reprezentantem Krakowa może być człowiek tak nieumiejący się w niczem zoryentować i pozbawiony zupełnie zmysłu politycznego. I ze zdziwieniem pytano, skąd mógł on zostać profesorem uniwersytetu? W odpowiedzi na to poczęto sobie opowiadać, iż przy tworzeniu studyum rolniczego z powodu braku sił ukwalifikowanych do zajęcia katedr, wydział krajowy, aby się pozbyć miernego urzędnika biura melioracyjnego, chętnie p. Sikorskiego podarował Wszechnicy Jagiellońskiej.

To mało. Tego rodzaju spryt, jaki okazał prof. Sikorski przy wychodzeniu sobie mandatu, nie opuszczał go w Kole polskiem. Wszyscy pamiętają, jakiej wrzawy narobiło jego nie uwieńczone skutkiem obiegania się o przejście z fotelu poselskiego do służby rządowej na wysokiem stanowisku w ministerstwie lub przy budowie dróg wodnych. Nie mogąc w ten sposób zużytkować swych „wyższych aspiracyi", prof. Sikorski wychodził sobie po cichu, bez wiadomości Koła, stanowisko rządowego eksperta w sprawie budowy kanałów za remuneracyą w kwocie 5.000 kor. rocznie.

Jasną jest przeto rzeczą, iż krakowski komitet demokratyczny przy obecnych wyborach o stawianiu kandydatury p. Sikorskiego myśleć nie mógł. Pod każdym względem zawiódł on zaufanie.

Ale p. Sikorski nie daje za wygraną. Rozpoczął *da capo* wędrówkę, która mu ongi przyniosła pożądane owoce. Od rana do późnego wieczora niestrudzony, zziajany, spocony, zwiedza piętra, partery, suteryny, poddasza. Jeżeli nieszczęsnego wyborcy nie przyłapie, zostawia mu bilet, ale to wyborcy nie chroni przed drugą, trzecią, choćby dziesiątą wizytą pana kandydata, aż do skutku, aż go dopadnie. Demokratom narodowym zaręcza, że już urodził się wszechpolakiem, chrześcijańsko-społecznym przedstawia się jako gorliwy, praktykujący katolik i antysemita; żydom prawi o ich krzywdach i swej wysokiej tolerancyi, nawet socyalistom daje poznać, że jest ich tajnym sympatykiem. Demokratów polskich upewnia, że jest członkiem ich organizacyi; przed bezpartyjnymi biada nad zgubną walką stronnictw.

Ludziom, którym imponuje tutuł profesora Wszechnicy, przedstawia się jako kandydat grona profesorów uniwersytetu i... młodzieży akademickiej. Posiada całą kancelaryę i całe archiwum; każdy wyborca ma w niem swą kartę, zapełnioną rozmaitymi szczegółami. Na zebraniach nie tylko siebie chwali, opowiada o swych pracach i zasługach, o dominującem swem w Kole polskiem stanowisku, ale dla kontrastu, aby od tych blasków słuchacze nie oślepli, maluje najczarniejszemi barwami swego kontrkandydata. Mistrz w każdym calu, geniusz w agitacyi nieprześcigniony.

Więc ugięły czoła przed tym geniuszem aż dwa komiteciki wyborcze. Pierwszy z nich, noszący nazwę komitetu niezależnych, czy niezawisłych, składa się z krakowskiej garstki wszechpolaków, akcyonaryuszy i redaktorów „Głosu Narodu", nazywających się szumnie stronnictwem chrześcijańsko-socyalnem i „luzem w polityce chodzących". Komitecik ten odgrażał się, że postawi w każdym okręgu swych kandydatów i w proch rozbije polską demokracyę i stronnictwo mieszczańskie. Skończył zaś na tem, że dla ratowania pozorów potrzeby swej egzystencyi przyczepił się do humorystycznego kandydata z Nowego Świata.

Drugi komitecik składa się z techników. Tym p. Sikorski wytłumaczył, że bez niego kanałów nie będzie, bo on tylko, jako człowiek fachowy, może przekonać... p. Bienertha. Uwierzono w tę naiwną bajeczkę i puszczono ją w obieg, jako pewnik, że bez „specyalisty" w Kole nagrobek kanałom gotować trzeba. A że nie wynaleziono jeszcze szczepionki, dającej odporność przed zakażeniem się naiwnością, więc epidemia jej wzrosła. Na szczęście nie zatrważająco, bo każdy już wie, że kanały są sprawą polityczną, że więc tylko tęgie głowy parlamentarne, ludzie znający tajniki układów i kompromisów, politycy i dyplomaci, pułkownicy, a nie ciury obozowe, mogą zmusić rząd do wykonania sankcyonowanej ustawy.

Ale p. ekspert Sikorski nie już pułkownikiem, ale nawet kapralem w polityce nie zostanie. Jego wiedza fachowa, jeśli ją rzeczywiście posiada, mogłaby się przydać dopiero przy budowie kanałów. Ale do tego nie trzeba być posłem. Ba! jako poseł pan Sikorski szkodził raczej sprawie kanałowej, bo kiedy w Kole polskiem przeważało zapatrywanie, że należy przeprowadzić przedewszystkiem budowę kanałów wewnętrznych galicyjskich, nie narzucając Niższej Austryi i Morawom kanału, którego one nie chcą, to p. ekspert Sikorski bronił wprost przeciwnego zdania, nie umiał więc nawet pojąć, co dla kraju potrzebne.

A co do owej wiedzy fachowej p. Sikorskiego można bardzo ważne poczynić zastrzeżenia. Pamiętamy dobrze jego nieszczęśliwy, bo i śmieszny i niepraktyczny projekt, aby dla uchronienia Krakowa od powodzi odsunąć Wisłę od Wawelu i zastąpić ją stojącym stawem: pomysł ten wyśmiano w Wiedniu, ale wskutek niego sprawa poszła w odwlokę, a Kraków wyrzucił niepotrzebnie 20.000 kor. Opowiadają też, że kiedy był urzędnikiem biura melioracyjnego, Lwów uprosił go, aby się tylko nie wtrącał do roboty, której miał doglądać z ramienia Wydziału krajowego.

Marka demokracyi polskiej, jaką p. Sikorski nosił i do której jeszcze się przyznaje, skłoniła demokratyczny komitet wyborczy do wezwania go w ubiegły czwartek na konferencyę w celu przedstawienia mu, że jak przed czterema laty w imię karności stronnictwa ustąpił na jego rzecz dr Doboszyński, tak dziś ten sam obowiązek karności wymaga, aby zrzekł się kandydatury na własną rękę i nic doprowadzał do rozbicia głosów wobec socyalistycznego kandydata. Odpowiedź p. Sikorskiego wywołała zdziwienie swą naiwnością czy cynizmem. Oświadczył poprostu, że przed czterema laty potrzebował jakiegoś stronnictwa, pod którego programem mógłby kandydować, a jeżeli wstąpił do demokracyi polskiej, to pod warunkiem, że zostanie postawiony i poparty. „Jest wprawdzie demokratą (dodał), ale bezprzymiotnikowym — wszystko mu jedno, pod której demokracyi stanie sztandarem". — Przy sposobności wyszło na jaw, że przed czterema laty p. Sikorski, zanim wstąpił w szeregi demokracyi polskiej, starał się o przyjęcie do stronnictwa mieszczańskiego, które wówczas płynęło jeszcze pod flagą konserwatywną. Udał się nam ten demokrata!

Niema o to obawy, aby wyborcy krakowscy nie poznali się na charakterze, stałości przekonań i kwalifikacyach tego operetkowego kandydata, rekordzistyszybkobiegacza. Owe 30.000 K, o któreby się ubiegał za przyszłe 6 lat swej ekspertyzy, niechby mu się dostały, ale nie jako posłowi. Ale jest rzecz przykra, iż w takim mieście, jak Kraków, mogła pojawić się kandydatura analfabety politycznego, a jeszcze rzecz przykrzejsza, że znajduje się garść inteligencyi, która podobną kandydaturę popiera. Nie może tu być mowy o złej woli — jest to poprostu brak uświadomienia.

Nadesłane.

(Za tę rubrykę Redakcya nie odpowiada).

DOBRODUSZNE UWAGI.

Z „królestwa" dwóch Ludwików.

Psyche krakowska, ta Psyche, która z urzędu już musi być wrażliwą za całą Polskę, jest zazwyczaj pod czerwiec znużoną całorocznem chodzeniem na koturnach, wyspiańszczyzną, nastrojami, maską hieratyczną. Czuje się jakoś nieswojo w szacie hellenskiej i spogląda ukradkiem w stronę współcześniejszej znacznie „jupe-culotte". Dobrzy ludzie tutejsi działają przez cały rok, ile tylko mogą, aby rozweselić biedną Psychę krakowską; pp. Boy i Noskowski opowiadają jej w „Zielonym baloniku" tak okrutnie wesołe historye, że się biedna niewiasta aż rumienić musi; p. Kannenberg wystawił swego „Marzyciela" aż trzy razy. Ale Psyche podwawelska jest niepocieszoną i dziwnie melancholiczną...

Bowiem tragedyą jej jest, że niema w Krakowie opery i operetki.

Zwłaszcza operetki. Kankanika, kupletów z „wkładkami" w stronę paradyzu, tonacyjki: „Ach patrzcie tu, ach patrzcie tam, jakie piękne nóżki mam"...

I pomyśleć, że przez cały rok obchodzi się Psyche krakowska tylko smaczkiem. Chodzi na koncerta do Starego Teatru, ale więcej na to, aby się pokazać, niż słuchać, zadowala się muzyką hejnałów z wieży maryackiej, melodyjnością wierszy lirycząt krakowskich i „kawałkami" firmy Pathé-Freres. Niedużo tej muzyczki nad Wisłą.

Dopiero z początkiem czerwca zmienia się sytuacya i Psyche może wtedy spokojnie odetchnąć. Dzieje się to zaś dzięki dwom Ludwikom, kapłanom galicyjskiej sztuki dramatycznej. Oto, kiedy p. Ludwik Solski kończy swój sezon „Nieznajomych tancerzy", „Świętych gajów" i innych wybitnych polskich utworów scenicznych, — zjawia się w sam czas drugi Ludwik, p. Heller, ze swojemi Margot, Clo-Clo, Frou-Frou, zwiezionemi dla oszczędności trzecią klasą ze Lwowa, aby, ku uciesze rozmaitych referentów teatralnych i innych amatorów trykotów zadziwić efektownością wystawy w „Hrabi z Luksemburgu", „Krysi leśniczance", „Księżniczce dolarów", a obok tego w „Halce" i „Strasznym dworze".

Psyche krakowska ma w ten sposób aż dwóch Erosów-Ludwików: pp. Solskiego i Hellera. Ci dwaj uzupełniają się wzajemnie: „dramatycznie" i operetkowo. Co p. Solski zaniedba we francuskiej perfumeryi teatralnej, to poprawi p. Heller produkcyami p. Miłowskiej i p. Solnickiego.

Dotychczas wysprzedał p. Heller dwie resztki lwowskiego „repertuaru"; będzie tego jeszcze aż dwa tygodnie.

Szczęśliwa Psyche krakowska...

E. H.

Korespondencye.

Rzeszów, 3 czerwca 1911.

(*Burmistrz w drugiem wydaniu. — Cynizm „gruboskórnego". — Burmistrz II w urzędowaniu. — Przed wyborami do parlamentu. — Szanse kandydatów. — Postulaty nasze*).

Jak już wiadomo z ostatniej korespondencyi, „przesilenie" magistrackie, o którem w ostatnich czasach u nas rozprawiano, już się skończyło. Wol. Król. miasto Rzeszów z jego „miodownikami" zostały uratowane od niechybnej zagłady, bo Jego Burmistrzowska Wysokość p. Dr Stanisław Jabłoński „raczył" łaskawie cofnąć swoją dymisyę. Mamy w Austryi Bienertha III, dlaczegóżby nie miał być w Rzeszowie Jabłoński II?

Cieszmy się więc, kochani Rzeszowianie, bo mamy już burmistrza w drugiem wydaniu. Pierwsze było już zupełnie „wyczerpane" więc nas nasi „nakładcy" obdarzyli drugiem. Zwykle bywa, że drugie wydanie wychodzi uzupełnione i lepsze, aniżeli pierwsze, ale w tym wypadku tak nie jest. Pomiędzy pierwszem a drugiem nie ma żadnej różnicy, pierwsze nic nie warte, a drugie też nic nie warte. Ale cóż to obchodzi naszych „nakładców"? Im przecież chodzi tylko o to, by „handel szedł". Gdyby wogóle nie puścili w obieg drugiego wydania, to nie byłoby już żadnego „geszeftu" a uzupełniać i ulepszać nie byłoby czego, bo wszystkie wysiłki byłyby bezskuteczne. Koszta byłyby większe, a drugie wydanie wartałoby tyle co pierwsze, więc mogliby przecież bardzo prędko zbankrutować! Nasi radni, którzy byli tymi „nakładcami" już dobrze rozumieją swój „interes". Pod jednym tylko względem i to technicznym, różni się drugie wydanie od pierwszego, bo oprawione jest w grubszą jeszcze skórę, aniżeli pierwsze.

Co prawda, to chcielibyśmy już raz zapomnieć o „polityce" naszego burmistrza, bo już nas niezmiernie znudziła, ale nie możemy pominąć milczeniem tego bezgranicznego cynizmu p. Dr. Jabłońskiego.

W piśmie swojem do Rady, w którem p. burmistrz cofnął rezygnacyę, powołał się tenże na „adres" owych żadnych, których imię jest „21", a którzy proszą go na litość Boską, by nie porzucał burmistrzowstwa w chwili ze względu na liczne inwestycye miejskie dla miasta tak doniosłej. P. burmistrz zamiast powiedzieć „Dziękujcie Panu Bogu, że się mnie pozbywacie", powiedział: „Dobrze, uczynię prośbie Waszej zadość, bo widzę, że dobro miasta wymaga, abym nie

opuszczał mojego posterunku". W tem tkwi cały ten cynizm w całej swojej nagości! P. burmistrz chyba sam najlepiej wie, jak wyglądała i wygląda jego gospodarka.

Za jego to „panowania" rosły w przestraszający wprost sposób zaległości podatkowe, które doszły do wysokości kilkudziesięciu tysięcy koron, a które miasto musiało potem spłacić w kilku rocznych ratach. Za jego rządów groziło miastu naszemu zupełne bankructwo, kiedy to p. burmistrz wybudował koszary ułanów na Wygnańcu. I bylibyśmy z pewnością zbankrutowali, panie burmistrzu, gdyby nie interwencya Eksc. Adama Jędrzejowicza, który wystarał się o to, że skarb wojskowy koszary te objął we własny zarząd. P. burmistrz chcąc sobie zobowiązać propinatora p. Silbera, rozbijał się swego czasu za oddaniem dzierżawy propinacyi z wolnej ręki i sam nawet tę sprawę referował. Dzierżawę oddano z wolnej ręki, ale p. burmistrz na tem nic nie stracił, straciło tylko miasto, bo pokazało się później, że czynsz dzierżawy byłby o wiele większy, gdyby tę dzierżawę oddano w drodze licytacyi. Kiedy bowiem na ostatnie 3 lata wydzierżawiono propinacyę w drodze licytacyi, czynsz dzierżawy za te 3 lata był większy o blisko 250.000 koron, aniżeli wtedy, gdy oddano dzierżawę z wolnej ręki. To nasz „opiekun" rozbijał się za oddaniem dzierzawy z wolnej ręki a p. Silber tymczasowo zarobił na czysto 250.000 koron.

Nikt inny, jak tylko nasz burmistrz „wygryzł" byłego radcę magistratu Topolskiego i byłego nadinżyniera p. Hołubowicza, którym miasto musi teraz płacić 6.000 koron tytułem rocznej emerytury, a uczynił to jedynie dlatego, że ci panowie nie byli mu sympatyczni. A jak się nasza gazownia rentuje, a jak się to nasza elektrownia będzie rentowała? Możnaby p. burmistrzowi wyliczyć jeszcze cały szereg jego grzechów, ale szkoda papieru i czernidła, bo to drugie wydanie oprawione jest w aż nadto g r u b ą s k ó r ę i na nic nie jest wrażliwe. Chodziło nam tylko o wykazanie, co to p. burmistrz zrobił takiego dobrego dla miasta, że mu „leibgarda" nie daje iść w dawno zasłużony stan spoczynku, co więcej chodziło nam o wykazanie tego cynizmu p. burmistrza, o którym można śmiało powiedzieć, że osiągnął rekord. Nie nadarmo nazwałeś się, panie burmistrzu, „gruboskórnym", ale to jeszcze trochę za mało.

Mówiąc już o p. burmistrzu muszę zaznaczyć z obowiązku dziennikarskiego, że p. burmistrz objął już napowrót urzędowanie i od dnia 25 maja br. „najmiłościwiej" nam panuje. Pociesznie to wyglądało, gdy p. burmistrz, który po rezygnacyi pożegnał ze wszystkimi urzędnikami, zapewniając, że już nie wróci więcej na swój posterunek, zjawił się 25 z. m. w swojem biurze. — Nie mógł patrzeć tym ludziom prosto w oczy, boć przecież mu „bardzo wstedno" było.

Właściwy ruch wyborczy rozpoczął się u nas dopiero w bieżącym tygodniu. Zgromadzenie w „Sokole", na którem przemawiali wszyscy trzej kandydaci tj. Eksc Biliński, nadinż. Karaś i dr. Pelzling, było inauguracyjnem. Prócz tego mieliśmy jeszcze dwa zgromadzenia syonistyczne, na których uchwalono popierać kandydaturę syonisty dr. Frenlicha ze Lwowa. Na jednem z nich przemawiał b. poseł Stand w wypełnionej po brzegi sali teatru żydowskiego.

Syoniści wogóle rozwijają żywą agitacyę za swoim kandydatem. Wprawdzie syoniści sami wiedzą o tem, że nie mają żadnych szans, mimoto jednak rozwinęli agitacyę za drem Frenlichem, chcąc uzyskać dla niego jak największą ilość głosów. W najbliższych dniach mają się odbyć dalsze zgromadzenia zwołane przez syonistów, a na jednem z nich kandydat syonistyczny wygłosi swoje credo.

Natomiast po stronie socyalistów, stawiających kandydaturę p. dra Pelzlinga, nie widać dotychczas żadnej agitacyi ani ruchliwości, podczas gdy w r. 1907 socyaliści byli pierwszymi, którzy dali początek całemu ruchowi wyborczemu w naszym okręgu. Socyaliści tutejsi ograniczyli się na razie do ogłoszenia na afiszach kandydatury p. dr. Pelzlinga oraz odpowiedniej odezwy, skierowanej przeciw stronnictwom rządowym. Mniejsze zgromadzenie poufne socyalistów odbywają się w różnych stowarzyszeniach zawodowych. Osoba p. Dra Pelzlinga jest w polityce lokalnej bardzo sympatyczną, tembardziej, że był jednym z pierwszych, którzy pojęli nieubłaganą walkę przeciw klice kahalno-magistracko-propinatorskiej, jednak p. Dr. Pelzling będzie przy obecnych wyborach — podobnie jak i poprzednich — zwalczany przez osoby blisko niego stojące, co zaznaczał już na zgromadzeniu w „Sokole" p. Dr. Nieć — a to z powodu stanowiska polskiej partyi socyalistycznej co do wstąpienia do Koła polskiego i solidarności tego Koła. Ponadto będzie p. Dr. Pelzling silnie zwalczany przez syonistów, stawiającego własnego kandydata, który w r. 1907 przysporzyli p. Dr. Pelzlingowi bardzo znaczną ilość głosów.

Co się wreszcie tyczy kandydatury p. Karasia, to może liczyć jedynie na głosy kolejarzy (i to nie wszystkich), wszechpolaków, którzy chcąc skorzystać z prawa głosowania, nie zechcą jednak głosować na Eksc. Bilińskiego i wreszcie na głosy członków „Gwiazdy" o ile w ostatniej chwili nie zajdzie coś podobnego, jak przed 4 laty, że wskutek agitacyi p. Dra. Niecia za Eksc Bilińskim „Gwiazda" opuści p. Karasia.

Wybór Eksc. Bilińskiego nie ulega najmniejszej wątpliwości i nikt nie przypuszcza nawet możliwości ścisłego wyboru.

Przed zgromadzeniem w „Sokole" 25 bm. odbytem rozdawano wyborcom spis postulatów okręgu Rzeszów. Ropczyce oraz postulatów ogólno-krajowych i państwowych, uchwalonych przez miejski komitet wyborczy. Postulatów tych jest aż 33, ale ani jeden z nich, nawet z tych, które się odnoszą do naszego okręgu, nie został przedstawiony żadnemu kandydatowi. A przecież możemy znaleźć na tym „Speisezettlu" jak to p. Burda nazwał na zgromadzeniu ten spis — postulaty, mające dla Rzeszowa bardzo wielką doniosłość, jak n. p. sprawa budowy naszego gimnazyum I., wyjednania subwencyi z funduszów asanacyjnych dla wodociągów, kanalizacyi, wyjednania bezprocentowej pożyczki z funduszu tanich mieszkań na dom dla ubogich, pomnożenie sił sędziowskich przy tutejszym sądzie itd. Bardzo wielka szkoda, że pp. kandydaci co do tych postulatów się nie oświadczyli.

Nowy Sącz, 3 czerwca 1911.

Sytuacya wyborcza. — Nowe pole działania endeków. — Syoniści.

Ostatni tydzień nie przyniósł ani jednego zgromadzenia wyborczego. Rola agitatorów ogranicza się do pracy spokojnej niekrzykliwej, tak zwanej pracy, „za kulisami". Radca German ze stoickim spokojem oczekuje wyniku wyborów; i nie dziw, że spokojnie i z pewnością siebie wierzy w korzystny dla siebie rezultat, gdyż cztery wielkie zgromadzenia wyborcze, na których przemawiał, były wymownym wyrazem opinii większości wyborców, odnoszących się do niego ze szczerem i zupełnem zaufaniem, tembardziej, że endecy nie urządzają oficyalnej „obstrukcyi", któraby się w każdym razie z celem swoim minęła, lecz zwrócili „swą energię" na inne zupełnie pole, tam gdzie prędzej będzie można komuś oczy zamydlić i frazesami bezprzedmiotowymi „zawracać głowę", a mianowicie: do wsi. Tam to właśnie kandyduje z ich ramienia emerytowany kapitan a obecnie inżynier p. Błażej Bednarek, gwoli któremu aż specyalny tygodnik p. t „Nasza Gazeta" wydają, głosząc wszem wobec i każdemu z osobna że tylko kandydat przez nich wystawiony, a specyalnie taki, który dobrze po niemiecku umie i rozumie (pan kapitan przecież ma te zalety) może być posłem prawdziwym i obrońcą uciśnionego ludu.

A nie cofają się nawet przed tak prawdziwie dziecinnym środkiem agitatorskim, że zebrali podpisy kilkunastu chłopów, którzy pod panem ex-kapitanem przy wojsku służyli i oświadczyli, że p. Bednarek był jako przełożony bardzo dobrym człowiekiem, co naszem zdaniem wcale temu nie przeszkadza, aby p. Bednarek był niedobrym posłem! Ale niema obawy — do tego nie dojdzie mimo usilnej pracy naszych zbankrutowanych sądeckich endeków.

Jak się ze sfer syonistycznych informujemy, postawią w najbliższych dniach własnego kandydata, który jak się zdaje sam nie wie, czego właściwie chce. Bo przecież mandatu poselskiego chyba nie! Dziwić się wprost należy, że partya tak rozrzutną się okazuje i wielkie sumy na bezcelową agitacyę wydaje, będąc z góry pewną niekorzystnego dla ich kandydata wyniku wyboru.

Bochnia, 2 czerwca.

(*Zakończenie sporu o „nowe planty". — Letnia kawiarnia. — Matura. — Ruch sportowy B. F. C. — Oszustwa asenterunkowe. — Defraudacya*).

Długoletni spór miasta z zarządem salinarnym co do t. zw. „nowych plant", został wreszcie w ubiegłym tygodniu ugodowo załatwiony. Spór datował się od kilkunastu lat wstecz, od czasu, kiedy naturalne przedłużenie plant, największej ozdoby naszego miasta, tworzyła targowica końska. Ś. p. burmistrz Trybulec zamienił targowicę na planty i teraz tworzą one jakby jedną całość. Ale kiedy planty salinarne były wzorowo utrzymywane, „nowe planty" były kompletnie zaniedbane.

Obecnie, po wielu formalnościach oddano je w zarząd salinom, które w krótkim czasie zrobią z nich miejsce przyjemnych przechadzek.

Tak jak na „starych plantach" ma być zaprowadzone elektryczne oświetlenie, na zasypanym przed dwoma laty cuchnącym stawie mają być urządzone wzorowe boiska tennisowe, zaprowadzone chodniki i klomby.

Mówiąc o plantach nie podobna pominąć nowości bardzo naszemu miasteczku potrzebnej.

Zarząd salinarny w uroczem miejscu, pod staremi stuletniemi drzewami wybudował stylowy pawilonik, który wydzierżawił bocheńskiemu cukiernikowi na letnią kawiarnię. Codziennie, a szczególnie w środy podczas koncertów muzyki salinarnej mnóstwo ludzi korzysta na świeżem powietrzu z tego udogodnienia.

W dniu wczorajszym rozpoczęła się u nas matura, pod przewodnictwem radcy p. Zawilińskiego. Stwierdzić jednakże należy jeden ogromnie smutny i oburzający fakt prawdziwie biurokratycznego postępowania profesorów. Na 40 abituryentów nie dopuszczono do zdawania matury 15 uczniów. Szczególnie srogim okazał się prof. Tyczka, zastępca dyrektora, który sam reprobował 10, czem wyrządził niektórym niepowetowaną szkodę, niszcząc im wprost karyerę z powodu wzięcia ich do wojska.

Ruch sportowy zaczyna się i w naszem mieście rozwijać. Zawiązał się z najlepszych footbalistów „Bocheński klub footbalowy", który przystąpił jako drużyna filialna do Cracovii. Codziennie trenują nasi footbaliści na boisku Sokoła i przygotowują się do matchu, który w najbliższym czasie mają rozegrać na boisku pozlotowem w Krakowie z Cracovią rezerwą. Młodemu klubowi życzymy wydatnej pracy.

Onegdaj bawił w naszem mieście inspektor policyi krakowskiej p. Bronisław Karcz. Na ten temat powstały najrozmaitsze bajeczki, że ściga morderców ś. p. Siennickiej. W rzeczywistości zaś przyjechał celem zebrania materyału w sprawie aresztowanych za oszustwa asenterunkowe w Krakowie małżonków Kleinwachsów. P. Karcz wyjechał do Wiśnicza, gdzie zabawił pół dnia i jak się dowiadujemy, przesłuchiwał poszkodowanych przez Kleinwachsów.

W uzupełnieniu kroniki bocheńskiej dodać należy przejechanie przez automobil jakiegoś chłopa, któremu się nic nie stało i wrzawę narobioną wśród Izraelitów z powodu defraudacyi pieniędzy przeznaczonych dla biednych w Jerozolimie, przez jednego z zarządców temi pieniądzmi, którego też z tego powodu usunięto, szkoda została jednak wynagrodzoną.

Sprawa wyborów przechodziła w ubiegłym tygodniu swój kryzys, ale przy końcu ozdrowiała. Narodowi demokraci oświadczyli się wreszcie bezwzględnie za Eks. Korytowskim, górnicy początkowo w opozycyi teraz się zreflektowali. Na środę zapowiedziano zgromadzenie Eksc. Korytowskiego, na które wybiera się całe bocheńskie mieszczaństwo.

Na wsi sprawa p. Ruebenbauera szwankuje. Żaden większy jego wiec nie obywa się bez epizodzików nie bardzo dlań przyjemnych. Albo zapowiedziane przez niego zgromadzenie odbędą Bardlowcy, albo rozbiją. Bar. Goetz przyjmowany wszędzie serdecznie odbył ogromne wiece w Mikluszowicach, Cerekwi i Besowie wprost owacyjnie przyjmowany.

Dr Bardel z dobrym skutkiem agituje w dawnych placówkach Stojałowskiego i Ruebenbauera, a ks. Stojałowski traci dawnych swych zwolenników, którzy go teraz znać nie chcą i jak w Łapczycy, przepędzają.

O wyniku wyborów z okręgu nie da się nic pewnego powiedzieć, prócz wyboru bar. Goetza, który ma mandat zapewniony.

Tarnów, 3 czerwca 1911.

(*Z walki wyborczej. — Dwa posiedzenia Rady miejskiej. — Z kahału*).

W mieście naszem panuje jakaś grobowa cisza. Kandydat socyalistyczny dr Bobrowski, zajęty agitacyą w drugim okręgu wyborczym, w którym się także ubiega o mandat, rzadko tylko daje w Tarnowie widzieć i słyszeć. Brak tej agitacyi, jaką wyborcy tutejsi pamiętają za kandydatury dra Drobnera, jest również powodem tak słabego tylko ruchu wyborczego w naszem mieście. Drugi kandydat dr Tertil nie sili się wcale o to, aby w mieście był „ruch", aby wyborcy nie dowiedzieli się za wiele o nim i jego partyi, nie zwołuje więc żadnego publicznego zgromadzenia. Odbyte w niedzielę zgromadzenie w sali „Sokoła" było najlepszym dowodem, jak bardzo potrzeba temu wszechpolskiemu kandydatowi spokoju, aby się cichaczem wśliznąć do parlamentu. Jedno przemówienie opozycyjne dra Schutzera wystarczyło zupełnie, aby wśród wyborców wyrobić nastrój wrogi dla pana kandydata, aby zdemaskować do tego stopnia perfidyę, obłudę, dwulicowość i antysemityzm partyi narodowo-demokratycznej, której kandydatem dr Tertil ma zaszczyt, czy nieszczęście być, że wyborcy — opuściwszy salę „Sokoła", jednomyślni byli w tem, że zwalczać naz całą energią endeków, a w szczególności ich tarnowskiego reprezentanta dra Tertila. To też zebrani w „Sokole" agitatorzy i hyeny wszechpolskie pod umiejętnem, wprost „artystycznie" fachowem kierownictwem starego, zbankrutowanego już antysemickiego-agitatora rej. Bujnowskiego na scenie, a prof. Heitzmana na sali, nie dopuściła wyciem zwierzęcem do swobodnej i wolnej dyskusyi. Dr Bobrowskiemu nie dano mówić.

W mieście panuje bowiem wśród obywatelstwa całego, a szczególnie już wśród żydów, wrogie usposobienie do jego kandydatury. Kilku karyerowiczów najgorszej marki z prezesem kahału na czele, kilku kandydatów na kandydatów do różnych „krzeseł" z Guściem u steru, oto gwardya przyboczna endeckiego kandydata.

W ciągu całego ubiegłego tygodnia mówiono ogólnie, w mieście, że dr Goldhammer uległ namowom ze strony partyi kahalnej i zdecydował się kandydować. We czwartek (dnia 1 b. m.) odbyło się w eskompcie zgromadzenie, zwołane przez kahalników, na którem uchwalono zwalczać za wszelką cenę kandydaturę dra Tertila i nakłonić dra Goldhammera do zgłoszenia kandydatury. Kilkunastu obywateli udało się nawet do dra Goldhammera do domu, ale go nie zastali.

Kandydat syonistyczny dr Malz przyjechał już do Tarnowa i wypowiedział na publicznem zgromadzeniu, odbytem w piątek pod gołem niebem swe credo polityczne. Wprawdzie panuje jeszcze w mieście dezyryentacya, ale jedno już dziś z całą stanowczością stwierdzić wypada, że dr Tertil uważany dotychczas za bardzo poważnego kandydata, bezwarunkowo przy pierwszych wyborach nie przejdzie, a najwyżej przyjdzie do ścisłego wyboru.

Burmistrz-kandydat chcąc pokazać obywatelstwu tarnowskiemu, że troszczy się jeszcze o miasto nasze (a nie wyłącznie o swój mandat), zwołał w ubiegłym tygodniu aż dwa posiedzenia Rady miejskiej. Na pierwszem usłyszał p. burmistrz najpierw z ust r. Holzapfla we formie interpelacyi, a następnie od dra Rappaporta kilka ostrych, acz prawdziwych słów

z powodu swojej kandydatury. Dr Rappaport podniósł to, że miastu grozi ruina finansowa, gdy burmistrz, który nie ma nawet solidarnego magistratu (gdzie w magistracie burmistrz ciągnie w prawo, a wiceburmistrz w lewo), wyjedzie posłować, to miejskie inwestycye milionowe bezwarunkowo zbankrutują, ściągając olbrzymie ciężary podatkowe, aż na trzecie pokolenie!! Te gorzkie słowa prawdy nie przemówiły do przekonania Rady, która przeszła nad tą sprawą do porządku dziennego. Zarówno wśród radnych jak i wśród nader licznie zgromadzonej galeryi, wywołała ta kompromitująca uchwała oburzenie i potępienie. Wypada jeszcze zauważyć, że zachowanie się burmistrza, który w okropny wprost sposób zlekceważył Radę miejską i tem samem obniżył jej powagę, spotkało się w galeryi i w całem mieście z niezwykłem oburzeniem.

Po interpelacyi r. Marguliesa w sprawie defraudacyi, dokonanej przez inż. Kulhanka w nowo zakupionej przez miasto gazowni, w czasie południowania burmistrzowskiego w sejmie, dokonano wyboru komisyi dla przeprowadzenia wyboru posła do parlamentu, poczem odbyła się dłuższa dyskusya w sprawie rudery, znajdującej się przy ul. Wałowej, obok realności dra Schützera. W dniu posiedzenia obiegał właściciel tej rudery z żoną wszystkich radnych i w ten sposób wpłynął na uchwałę Rady. Z lojalności, a może z kurtuazyi złożył na wstępie dr. Schützer oświadczenie, że jakkolwiek założył w komisyi protest przez renowowanie tej rudery, obecnie go cofa, gdyż nie chce, aby miasto wykupując front tej rudery, robiło mu prezent z 30 tysięcy koron.

Wszyscy niemal radni wystąpili przeciw kupnu za tak drogie pieniądze tych kilku metrów gruntu. Bardzo racyonalne stanowisko zajął asesor inż. Rypuszyński, apelując do Rady, aby uchwaliła po myśli wniosku Magistratu wywłaszczenie tej rudery, szpecącej główną ulicę i wychodzącej poza linię regalacyjną. Wieczny bajtała ze „Sodalicyi" Stapf, zabrał w tej sprawie także głos. Czy niema p. Stapf tyle poczucia lojalności, że jako przedsiębiorca interesowany, nie powinien w żaden sposób zabierać głosu i wpływać na radę wbrew dobru i życzeniu ogółu? Pan Stapf dba tylko o swoją kieszeń i używa aż słów „syberyjsko-pruska" rzecz na ustawą wskazane wywłaszczenie. Wniosek na wywłaszczenie opadł. Apelujemy jednak gorąco do Magistratu i budownictwa miejskiego, aby absolutnie nie zezwolił na zamierzone restaurowanie tej rudery, gdyż byłoby to krokiem skandalicznym nie do usprawiedliwienia! Tarnów się europeizuje! Oto do wszystkich inwestycyi i robiących się teraz tramwajów brakowało tylko oświetlenia głównych ulic. Oto uchwalono teraz zmienić dotychczasowe pojedyncze latarnie na Mannesmannowskie świeczniki czteropłomienne systemu „Graetzin". Będziemy więc przynajmniej w ulicach Wałowej i Krakowskiej mieli nowoczesne, europejskie oświetlenie.

Od Administracyi.

Wszystkich P. T. Czytelników naszych upraszamy niniejszem, ażeby przy zakupnie, względnie zamawianiu towarów u firm, anonsujących się w „Gazecie Poniedziałkowej" odwoływali się łaskawie na odnośne ogłoszenie.

DOBRE SERCE.

Szare, ciężkie chmury zawisły nad ziemią... Śnieg walił wielkimi płatami, zaścielając białym kobiercem ulice miasta, po których snuły się wesołe, przedświąteczne tłumy, załatwiając różne zakupy, konieczne na jutrzejsze święto...

Stary urzędnik, Slakin, stał przed zaśnieżonem oknem i ze smutkiem patrzył na ulicę i na zafrasowanych, spieszących się przechodniów.

— Boże! — myślał, i w jego poczciwych oczach zakręciły się łzy nieproszone. — Boże! Taka wielka świąteczna noc, a ilu to jest biednych ludzi, pozbawionych dachu nad głową, ciepłego kąta i maleńkiej ustrojonej choinki. O! jakbym ja chciał zrobić komuś radość, choć jednego, nieszczęśliwego cieszyć i dać małym dzieciom, pozbawionym tego, choćby jedną, wesołą choinę. Mój ty Boże... Ile to na świecie nędzy, smutku i nieszczęść!

Urzędnik Slakin ubrał się w palto, czapkę, i pełen smutnych i dobrych myśli — wyszedł z domu.

Ożywione tłumy wartkim potokiem mijały go a on, zatrzymawszy się na rogu, długo stał i myślał:

— Jacy oni spokojni, obojętni... Nikt nikogo nie obchodzi... A tymczasem, między nimi prawdopodobnie setki głodnych, potrzebujących, pozbawionych ciepła i pomocy.

Tuż obok niego zatrzymał się jakiś pies, obwąchał mu kalosze, i cicho skomląc, potrząsnął karkiem, zasypanym śniegiem.

— Biedna, samotna psina — rzekł rozrzewniony Slakin, pochylając się nad psem. — Biegasz po ulicach i nikt się tobą nie zajmie. Chodź ze mną, nakarmię cię i położę na ciepłym dywaniku.

Slakin wyciągnął po psa rękę, ale ten głośno zaszczekał, rozwarł pysk i silnie wpił się ostrymi zębami w rękę Slakina.

— Czego pan, do djabła drażni mojego psa? — dał się słyszeć zirytowany głos, i oficer, który przed chwilą wyszedł ze sklepu, surowo popatrzył na zmieszanego Slakina.

— Chciałem psinę... do domu... odprowadzić... ogrzać...

— Che, che! — brutalnie roześmiał się oficer.— Sprytny ptaszek! Rasowego, trzystukoronowego psa do domu odprowadzić! Należałoby się na policyę pana odprowadzić, nie do domu!... Nero! ici!

*

A fale spieszących się, obojętnych ludzi, wciąż pędziły gdzieś dalej, zamieniane coraz to nowemi falami...

Krocząc ulicą Slakin, otulony w ciepłe palto, smutno rozmyślał:

— Wicher wyje i na stepie musi być strasznie, jakby tysiące rozwścieczonych dyabłów odprawiało sabat... Źle z podróżnym, którego w drodze spotka taka okropna zawierucha... Wicher będzie się wdzierał przez jego podarte odzienie, lodowatym oddechem mroził nieszczęśliwego, a dalekie wycie wilków, czujących bliską zdobycz, będzie mu pogrzebową pieśnią...

...Idzie piechotą, tonąc po kolana w śniegu, gdyż nieszczęśliwy niemiał zaco nająć niedzielnego konika... Idzie zgarbiony daremnie usiłując otulić się lekkim płaszczem, milcząc, bez najmniejszego dźwięku...

Slakin otarł nieproszoną łzę i skręcił w mniej ludny zaułek.

Obok niego przeszedł zgarbiony, usiłując otulić się paltem, nieznajomy.

Serce Slakina ścisnęło się.

— Hej, wędrowcze!... Proszę poczekać!... — Dogonił przechodnia i milcząc, wsunął mu w rękę dziesięciokoronówkę.

Przechodzień zatrzymał się i zdumiony popatrzył na Slakina.

— Co to jest?... Co to znaczy?...

— To dla pana, wędrowcze! Droga pewnie przed panem daleka, a koni niema za co wynająć. Nie trzeba dziękować. Pomogłem, czem mogę. A w polu jak gdyby tysiące rozwścieczonych dyabłów wyprawiało sabat...

— Jak pan śmiesz! — ryknął przechodzień. — Czy pan wiesz, kto ja jestem? Ja pana w 24 godzin... Co za zuchwałość!

Jego eleganckie palto rozwarło się i widać było na piersiach złote naszycie i kilka iskrzących się, przy świetle latarni, orderów.

— Niech pan wybaczy — zaledwie zdołał wyszepnąć Slakin.

— Ładny egzemplarz! Już się zdołał urżnąć!... Idź pan do... dyabła!...

*

Wiatr dął coraz silniej.

Grudzień dawał znać o sobie, i Slakin, wyszedłszy znów na ruchliwą ulicę, smutnie rozmyślał.

— Ile to dzieci tych — według słów poety — kwiatów życia, chodzi teraz po ulicach, oglądając na ślicznych wystawach sklepowych smaczne rzeczy, które, niestety, nie dla nich są!... Nie dla pasierbów przy uczcie życiowej!...

W gardle dusiły go łzy i serce ściskało się boleśnie.

Przed wspaniałą wystawą cukierni stała dziewczynka i chciwie pochłaniała oczami wystawione torty i cukierki.

— Biedne dziecko! — mruknął Slakin, chwytając dziewczynkę za rękę.

— Nieszczęśliwa, bezdomna dziecino... Chodź ze mną, nakarmię cię i ogrzeję w tę świętą noc.

— Maman! — krzyknęła przerażona dziewczynka. — Maman, on me tire-t-il?

Dama, oglądająca sąsiednią wystawę magazynu mód, przerażona podbiegła do dziewczynki.

— Proszę ją puścić; wstrętny starcze — zawołała — bo uderzę pana w głowę parasolką. Jak pan śmiesz chwytać ją za rękę i ciągnąć?

— Zuchwałość tych lubieżnych pawianów przechodz wszelką granicę! — odezwał się jakiś przechodzień.

— Już teraz zaczęli chwytać swe ofiary na głównych ulicach, wśród tysiącznych tłumów.

Proszę mi wierzyć — rzekł Slakin — że chciałem tylko wziąć tę dziewczynkę do domu i zaopiekować się nią ze względu na tę noc, która...

— Jesteś pan łajdak! — zawołała wzburzona dama. — Nadine, nie powinnaś słuchać, co mówi. Chodźmy prędzej...

*

A śnieg ciągle padał.

Slakin znów zawrócił na mniej ludną ulicę i smutno kroczył po obmarzłym chodniku, dumając:

— Jak ja chciałbym zrobić komuś radość, zaspokoić potrzeby i troski choć jednego człowieka. Ale teraźniejsza nędza harda i ukrywa swe łachmany... Trzeba wiele delikatności i taktu, żeby nie urazić biedaka i niewytykać swego dobrodziejstwa.

Zrównał się z nim, spoglądając mu w twarz, jakiś wysoki człowiek w zrudziałej kapocie, przepasanej postronkiem i w czapce z naderwanym daszkiem.

— Jest! — pomyślał Slakin, zaczął cichym delikatnym głosem:

— Brzydka pogoda, nieprawdaż?

— Świńska pogoda — potwierdził nieznajomy.

— Pan, prawdopodobnie, wychodząc, z domu, zapomniał się ciepło ubrać? — delikatnie pytał Slakin. — Mam nadzieję, że 20 koron wziętych ode mnie tytułem pożyczki, mogłoby do pewnego stopnia załatwić tę bagatelną kwestyę...

— Eh, nie. Oddaj no mi lepiej palto!... — odparł mi nieznajomy. — Zdejmuj no prędzej...

— A... jakże ja? — dziwił się Slakin.

— Dam ci swoje łachy! No, prędzej, stary! A gdzież te dwadzieścia koron? Dawaj je! Tu jest więcej?... Nic nie szkodzi!... A zegarek... złoty? Co, a dyabła, srebrny nosisz, kutwo?... Teraz buty!...

*

Zamieć wzmagała się; śnieg nie przestawał padać wielkiemi płatami.

Ulicą kroczył staruszek w obdartej, przewiązanej postronkiem kapocie, podartych butach i coś do siebie mruczał.

Maleńki, okryty kobiecą chustką, chłopczyna podszedł doń, i drżąc z zimna, błagał:

— Wielmożny panie!... Przy tej świętej wigilii...

— Co? Przy wigilii? — krzyknął Slakin. — Masz szelmo!

Schwycił malca i dał mu kilka kułaków, a potem ze złością zaczął targać uszy.

I to był jedyny dobry uczynek, jaki zrobił Slakin, gdyż obdarty malec zupełnie zamarzał, a kułaki i policzki rychło rozgrzały mu plecy i zbielałe uszy...

Z muzyki.

Koncert jubileuszowy krakowskiego chóru akademickiego pozostawił jak najlepsze wrażenie, był bowiem produkcyą istotnie wyjątkowo piękną i przygotowaną nader starannie. — Cały też tydzień ubiegły był przedmiotem wspomnień w krakowskim światku muzycznym, który wrażenia tego rodzaju zwykł trawić bardzo szybko, przygotowując żołądeczek na mniej strawne uczty duchowe... popisy szkół muzycznych.— Był w ciągu tygodnia interesujący wysoce wieczór esperancki z współudziałem śpiewaka estradowego prof. St. Bursy i wysoce uzdolnionej jego uczennicy p. Heleny Miętkówny, lecz o wieczorze tym zdaje sprawę sylf „Poniedziałków" na innem miejscu. — Wróćmy do popisów. Z uczelni muzycznych pierwszy do popisu stanął „Instytut muzyczny". Szkoła ta rozwijająca się pomyślnie z roku na rok, przedstawiła wraz z programem sprawozdanie z ubiegłego roku szkolnego, wykazując poważną liczbę uczni, grono profesorów, wykaz produkcyj itd. Uczni liczył Instytut 150 nad którymi pracowało jedenastu nauczycieli i dwie asystentki. — Grono to pozostaje bez kierownictwa. Sprawozdanie bowiem zbywa kwestyę tą milczeniem, lecz wiemy dobrze, iż sprawnie je znana zaszczytność artystka p. Klara Czop-Umlaufowa, dzierżąc drobną dłonią — ster nawy, silnie i pewnie, skoro instytucya ta nabrała i rozmachu — i siły.— Popis Instytutu odbywał się przez dwa dni. W dniu pierwszym (piątek 2 czerwca) popisywali się soliści i ensembliści. — Popis rozpoczęto poprawnem odegraniem „Kwintetu fortepianowego" Gebauera przez p. Bachner, Parczyńskich i Blaschkego. Potem wykonano z zakresu muzyki kameralnej „Trio fortepianowe" Fratza, „Trio" Mysliweczka w opracowaniu Riemanna, „Kwartet smyczkowy" Haydna. Kończąc produkcyę „Triem fortepianowem" Mozarta. Muzykę komnatową pielęgnuje się w Instytucie z zamiłowaniem, to też popisy te miały cechę nie tylko wielkiej staranności w przygotowaniu, lecz niepozbawione były pewnego rysu artystycznego, świadczącego nader korzystnie o kulturze muzycznej kierowników tego działu w Instytucie.

Pracę nauczycieli najdosadniej charakteryzują soliści. Ci walczyli o palmę pierwszeństwa i uznanie, które musimy rozdzielić w równej mierze wszystkim, uznając piękne ich aspiracye muzyczne i pracę. — Z pianistek popisywały się z klasy p. Raczyńskiej pna H. Raczyńska (Reinecke „Sonatina") oraz p. Gołosińska, wykazując piękne frazowanie, jędrne uderzenie w instrument i pewną rytmikę. — Również uczennice p. Kaufmanówny, panny Bachner, M. Reiferówna, M. Sedlaczkówna, Z. Dzikiewiczówna, K. Spornówna— występując zarówno w charakterze solistek jak niemniej współdziałając w muzyce komnatowej dały dowody sumiennej pracy swej nauczycielki, tudzież wielkiej muzykalności. — Z klasy p. Umlaufowej wzięły udział w popisie pny Schaitterówna i Naziemska, wykonując part fortepianowy w Triach. — Kopystyński, znany wiolonczelista, przedstawił dwu wysoce utalentowanych uczni, a to: pp. J. Bilikiewicza i Gerzabka, którzy poza pięknym tonem wykazali rozwijającą się i racyonalnie prowadzoną technikę i smak w wykonaniu. Te same przymioty cechują uczni p. Giebułtowskiego, których w tym wieczorze brało kilku udział w muzyce komnatowej, zaś p. Kołomyjski jako solista, bardzo pięknem wykonaniem koncertu skrzypcowego Moldermansa. Popisy instrumentalne ożywił śpiew, który miał dwie przedstawicielki klasy pani Carnioli w osobach panien Zakrzewskiej i Żyrkiewiczówny. Obie śpiewaczki reprezentowały piękne materyały głosowe, które w tym stadyum rozwoju, w jakim są obecnie przedstawiają się dodatnio, wykazując postępy znaczne w zakresie metody do głosów

tych stosowanej. O sposobie uczenia, p. Carnioli wyrażaliśmy się na tem miejscu kilkakrotnie z uznaniem, dziś stwierdzamy, chętnej pracy, traktowanej z zamiłowaniem, nowy dowód. — Drugi dzień popisów przyniósł produkcye solistów z towarzyszeniem orkiestry. — Popisywali się uczniowie p. Umlaufowej, Giebułtowskiej, Carnioli. Do charakterystyki sumiennej pracy pedagogów tych zbytecznem byłoby dodawać pochwały ponad już przyznane, nie podobna jednak przemilczeć tego, iż na tle wybornego akompaniamentu doskonałej orkiestry p. Hocka, która w tej specyalności nie wiele ma współzawodników, wystąpiły zalety gry uczniów w znacznie wybitniejszej mierze, przynosząc oklaski wykonawcom a pośrednio i uznanie pedagogom. Tydzień muzyczny zamknął początek sezonu operowego, który zainaugurowano „Halką“ Moniuszki tradycyonalnie do tego celu używaną. Z „Halki“ sobotniej tylko Halka była nam nieznaną w tej partyi, odśpiewanej bardzo pięknie, reszta partyj znalazła się w dawnej obsadzie. Z przedstawień operowych będziemy zdawali sprawę w naszych pogadankach tygodniowych, w którym to celu dotychczasowy informator przeniesie się na inny fotel miejskiego teatru, będzie to jednak zawsze ten sam

fotel 66.

Kronika powszechna.

„Gazeta Krakowska“

Od dnia 15 maja wychodzi w Krakowie nowe pismo codzienne pod tytułem:

„Gazeta Krakowska“.

Pismo to, redagowane barwnie i żywo, zajmuje się przedewszystkiem obecnymi wyborami, lecz obok tego także wszelkiemi bieżącymi sprawami politycznemi, społecznemi i lokalnemi. Obfity dział telegraficzny i telefoniczny informuje Czytelników o wszystkich ważniejszych wypadkach w kraju i zagranicy.

„Gazeta Krakowska“ jest mimo to najtańszem ze wszystkich codziennych pism krakowskich, prenumerata miesięczna wynosi bowiem tylko 1·50K.

Redagowana w duchu szczerze demokratycznem. „Gazeta Krakowska“ zdobyła sobie już podczas krótkiego swego istnienia szerokie koła zwolenników i przyjaciół z powodu zajmującej swej treści, a przedewszystkiem z powodu **niezwykle szybkich swoich wiadomości telegraficznych i telefonicznych.**

„Gazeta Krakowska“ jest przytem pismem **zupełnie niezależnem**. Obszernością swego działu wyborczego „Gazeta Krakowska“ przewyższa wszystkie inne pisma krajowe.

Kobieta a palenie tytoniu. Czasopismo dla wytwornych pań, *Lady's Realm* rozpisało do swoich czytelników i czytelniczek zapytanie, czy kobiety mają palić. Oczywiście nie idzie w tym wypadku o zdanie Hiszpanek, Rosyanek lub Kreolek, które wogóle nie rozumieją życia bez palenia; nie idzie też o Holenderki lub Flamandki, idące w pole do roboty z fajką glinianą w ustach. Chodzi o zdanie dystyngowanych pań z krajów najbardziej ucywilizowanych. Odpowiedzi brzmią bardzo nierówno. I tak np. księżna Gagarin nie pojmuje, dlaczego kobieta nie ma palić, ale jeśli tak ma być, to już ani fajki, ani cygara, bo te czynią ząbki czarnemi, ale tylko cygareta. Księżna osobiście tytoniu nie cierpi, dlatego jest zupełnie w tej sprawie bezstronna. Miss Nevil stoi na tem stanowisku, że kobieta ma te same prawa, co mężczyzna, dlatego nikt jej nie może zakazać palenia. Ale... są pewne ograniczenia. Kobieta, która stanowczo chce palić, musi się ze względu na kobiecą godność namyślać, czy ma wszędzie palić, i co ma czynić ze względu na otoczenie, w którem się znajduje; czy istotnie jej palenie jest potrzebne, czy też bierze papieros do ust dla zwrócenia na siebie uwagi. Jeśli to wszystko uwzględni, to może palić. Angielki, żony deputowanych Fraser i Cleveland, są zdania, że nic nie ma lepszego nad papierosa. Ale chyba najracyonalniejszym jest głos miss Evelyn Lang. Powiada ona: „Nie, nie mogę sobie wyobrazić matki, palącej cygaro przy kolebce swego dziecka; nie mogę sobie przedstawić dozorczyni chorych, która jawi się przy łoży chorego z fajką w gębie. Tytoń jest szkodliwy dla mózgu, krtani, zębów. Zamiast odpowiedzi, czy kobiety powinny palić, raczej należy żądać, żeby mężczyźni przestali palić“.

Książki w Japonii. Z krajów, mających pretensye do wszechświatowej kultury, Japonia jest może jedynym, którego książki poza jej granicę prawie nie wychodzą, a księgarstwo i nakładctwo jest tak, jakby żadnym interesem. Drukuje się tam wprawdzie więcej corocznie dzieł niż gdzieindziej, ale nakład z reguły nie przewyższa 500 egzemplarzy, a są i takie, które w 100—200 wychodzą na świat. Ponadto publiczność tamtejsza nie potrafi odróżnić dobrej od lichej. Charakterystyczne, że Japonia nie wydała dotąd ani jednego poety, którymby się poszczycić mogła przed światem.

Małe dziwactwa wielkich ludzi. Psychiatrzy utrzymują, że między geniuszem a waryactwem jest niekiedy bardzo tylko subtelna granica, dla profanów nawet wprost niemożliwa do odróżnienia. Opowiadają też rozmaite na ten temat mniej lub więcej zabawne anegdoty. I tak np. wielki Newton miał pewnego czasu w osobliwy sposób gotować jaja. Jego gospodyni, wychodząc z domu, prosiła go, aby jej ugotował jaje. W tym celu dała mu je do ręki, a do drugiej zegarek, z pouczeniem zarazem, ile minut ma trwać proces gotowania. Za powrotem zastała uczonego, stojącego w zadumie przed gotującą się wodą w garnuszku i trzymającego jaje surowe i zegarek w rękach. Studjował on... bulgotanie wrzącej wody.

Pasteur zakazał surowo, aby nie jadano owoców, jak czereśni np. nie opłukanych poprzednio z bakteryi w szklance wody. Nie przeszkodziło mu to bynajmniej w roztargnieniu wypijać najspokojniej wodę, w której opłukał czereśnie...

Znakomity matematyk Poincaré był tak roztargniony, że do swego kufra z bielizną pakował także pościel hotelową. Wiadomo, że sławny mąż pani Skłodowskiej p. Curie zginął skutkiem własnej nieostrożności, przejechany przez wóz ciężarowy, gdy szedł zamyślony ulicą. Filozof Malebranche wyobrażał sobie, że na nosie ma łopatkę baranią i ile razy do ognia się zbliżał bał się, aby się ta nie upiekła. Hugghens w mawiał w siebie nieraz, że jest urobiony z masła... Aleksander Dumas nie mógł bez odrazy dotknąć się aksamitu, a malarz Girard pióra ptasiego. Pascal lubił długo w łóżku leżeć i myśleć; Marek Twain tworzył także w łóżku leżąc. Muzyk Andrean komponował w omnibusie, a Haydn wśród zgiełku i hałasu ulicy; toż samo Buffon swe zbiory porządkował w licznem towarzystwie. Ibsen małemi drewnianemi figurkami uprzytomniał sobie sytuacye tworzonych przez siebie dramatycznych scen. Ale chyba najbardziej oryginalnie radził sobie romansopisarz Ponson de Terrail. Aby się zoryentować wśród niezliczonych figur swoich romansideł, wycinał z papieru figurki swoich bohaterów i wieszał je na nitkach przed biurkiem. Jeśli która figura śmierć poniosła w romansie, to uśmiercał ją też w szeregu zapomocą małego pistoletu...

Zabobonni sławni ludzie. Ktoby pomyślał, że wielkie umysły także dają się opanować zabobonom i przesądom. A jednak... *Pall Mall Gazette* opowiada, że n. p. sławny Karol Dickens zawsze podróżował z kompasem, a za nic w świecie nie byłby się kładł do łóżka, gdyby był zapomocą busoli nie stwierdził, że ono stoi równo między północą a południem. Słynny irlandzki polityk Paurell nie ruszył filiżanki kawy, jeśli łyżeczka była w niej z lewej ku prawej stronie, ale przeciwnie. Lord Roberts, zwycięzca Transvaalu do dziś jest najmocniej przekonany, że szczęście tak jemu, jak i armii angielskiej dopiero wtedy się uśmiechnęło, gdy mu starą podkowę nadesłano. Znaleziono ją w Londynie na Frafelgar-Square pod pomnikiem Nelsona. Lord Roberts opowiada, że w czasie wojny sam dwie podkowy znalazł, ale był tego przeświadczenia, że jeszcze mu jednej potrzeba do okończenia wojny. Cały szereg sławnych mężów stale nosił przy sobie różne amulety; np. słynny orientalista, Max Muller, nosił zawsze starą przedziurawioną monetę, a jeden z obecnie żyjących mężów stanu nosi ze sobą korzonek, z którym się nigdy nie rozłącza.

Moda rujnująca krawców. Ciekawe w paryskim świecie mody zapanowały stosunki, a wytworzyły je bogate Amerykanki, które poprostu dla kaprysów swoich na prawo i lewo rzucają dolarami, a nie mając ani smaku dobrego, ani gustu, chcą nadawać ton modzie światowej. W tym stanie rzeczy stają się poprostu plagą krawców, którzy nie mogą nadążyć z obstalunkami. Rzecz oczywista, że tym sposobem nie tylko wywołują te panie rywalizacyę między krawcami, ale powodują podnoszenie cen robocizny, krawcy bowiem zdani są w takich warunkach na łaskę i niełaskę swoich pracownic. One dyktują ceny, a jeśli jeden majster na nie się nie zgodzi, to idą do drugiego, który je skwapliwie przyjmuje. Takie zmiany mody przyczyniają się dalej do tego, że nie można wyszkolić prędko nowego personalu. Tem się tłumaczy okoliczność, że gdy za cesarstwa suknia za 1.500 fr. mogła wystarczyć na trzy lata, to obecnie ledwie na trzy miesiące starczy, bo potem jest już za stara i niemodna.

Hotel-pałac dla robotników. W Paryżu będzie niebawem otwarty wspaniały gmach, wzorowany na tego rodzaju budowach amerykańskich. Zwać się będzie gmach ten: „Hotel populaire pour hommes“, a będzie miał za zadanie dać robotnikom za małe pieniądze wszelkie błogosławieństwa nowoczesnego komfortu. Jest tam hala dla przyjęć, biblioteka i stoliki do załatwiania korespondencyi przez gości. Ściany w niektórych ubikacyach wykładane są kaflami, w innych malowane w krajobrazy. Jadalnia mierzy 50 metrów długości a 40 szerokości. Są w niej porozstawiane stoliki, aby robotnicy grupami mogli się bawić przy stole. Ceny w tej restauracyi są niezwykle tanie. Za 30 centymów, a więc za 28 halerzy dostaje się sztukę mięsa, a za 15 centymów jarzynę i piwo lub wino, albo w lecie limoniadę. Cały obiad nie kosztuje więcej, jak 60 centymów. Goście usługują sobie sami. Co się tyczy mieszkania, to kosztuje ono na dobę 70 centymów, czyli 4 koron tygodniowe wraz z umeblowaniem i pościelą, światłem elektrycznem i centralnem ogrzewaniem. Są jednak ograniczenia pewne: oto palić w pomieszkaniu nie wolno, bo do tego celu są fumoary; dalej o 9 tej rano musi być lokal opuszczony, aby go wywietrzyć można; ponadto winni się lokatorzy zachwywać spokojnie i nakoniec mogą z hotelu korzystać tylko mężczyźni. Pomimo tych pięknych udogodzeń i komfortu, paryski robotnik nie pali się bardzo do takiego koszarowego życia. Lubi on swobodę, dla której i komfort gotów poświęcić.

Telegramy.

Biliński — prezesem Koła?!

(Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej).

Wiedeń. Na czwartkowym raucie u prezydenta ministrów z okazyi 100 letniej rocznicy powstania kodeksu cywilnego, apostrofowano b. ministra Bilińskiego wielokrotnie, jako przyszłego prezesa Koła.

Opinia w tym kierunku zamanifestowana wywołała w szerszych kołach pewną senzacyę, aczkolwiek po stronie wtajemniczonej w zakulisowe układy i aspekty powyborcze, liczono się z tą ewentualnością wnet po rozwiązaniu Izby.

Dyspozycye poczynione przez poszczególne stronnictwa są zresztą najlepszą wskazówką co do zamiarów istniejących.

Ilość kandydatur konserwatywnych dowodzi, że ambicye partyjne są skierowane ku celom określonym. Wiadomo, że prawica narodowa stawia dwadziestu kilku kandydatów, a stosunki się tak układają, że conajmniej dwudziestu z nich zdobędzie zaiste mandaty.

Wiadomo dalej, że stronnictwo ludowe aspiruje do 30 mandatów, a można uważać za rzecz pewną, że grupa Stapińskiego zdobędzie około 25 członków. Dwa stronnictwa wymienione: konserwatyści i ludowcy, rozporządzać przeto będą większością absolutną, która zechce osadzić na stanowisku prezesowskim swojego męża zaufania. Można wprawdzie przypuszczać, że demokratom uda się zdobyć dla siebie przynależne wpływy w obsadzie innych stanowisk decydujących, ale konserwatyści i ludowcy jako najbardziej do siebie zbliżeni, zechcą niezawodnie naczelny posterunek w Kole zarezerwować dla siebie.

Charakterystycznym w tym względzie momentem jest to także, że obecnie w toku są zabiegi, aby pojednać ze sobą dwóch wybitnych polityków, którzy dotychczas w Kole rzucali sobie wzajem kłody pod nogi.

Jak udało się dokonać w swoim czasie zgody między Bilińskim, a Stapińskim, tak obecnie za wpływem jednego z członków gabinetu wdrożono podobne usiłowania pojednawcze, które rokują skutek pomyślny.

Przypuszczać należy, iż wygładzenie stosunku między oboma wspomnianymi politykami jeszcze bardziej się przyczyni do wewnętrznego skonsolidowania Koła.

Komisya reformy administracyi.

(Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej).

Wiedeń. Słychać, że mianowana przez rząd komisya reform administracyjnych zbiera się już w ciągu miesiąca na pierwsze posiedzenie.

Na zebraniu tem nastąpi ukonstytuowanie się komisyi i przeprowadzona zostanie dyskusya co do formalnego traktowania materyałów.

Nadesłane.

(Za tę rubrykę Redakcya nie odpowiada).

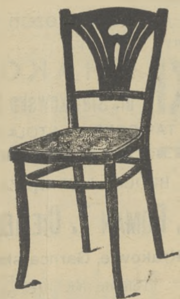
Szczotki do ubrań i włosów, **Szczotki** do zamiatania i dywanów, **Szczoteczki** do zębów, rąk i paznokci, **Perfumy** francuskie oryginalne i na wagę od 60 hal. za 10 gr., **Lawn-Tenis**, **Piłki nożne**, **Woda kolońska**, **Hamaki**, **Huśtawki**, **Wrotki** sport kółeczkowy, **Worki** dla turystów poleca najtaniej

L. WEINDLING
Kraków, Grodzka 26.

Krajowa fabryka mebli giętych Michała Adera w Jazowsku

biuro centralne w Krakowie

poleca



wszystkie meble wchodzące w zakres fabrykacyi mebli giętych, także w stylu zakopańskim oraz meble ogrodowe wszelkiego rodzaju.

Główny skład Pathéfonów

Stefan Grudziński i Tadeusz Berger

Telefon 305 Kraków, ul. Szewska 10. Telefon 305.

Pathéfon jest najdoskonalszym instrumentem doby współczesnej. Zadowala najwybredniejsze wymagania artystyczne. Gra bez zmiany igły, wiecznym szafirem. Płyty nie zgrywają się prawie zupełnie, dlatego grają zawsze równie czysto, głośno i bez chrapania. Płyty o średnicy 24, 29 i 50 cm.

Repertuar we wszystkich językach. - Świetne zdjęcia polskie. - Co miesiąc nowości.

Żądajcie cenników darmo i opłatnie

W lokalu przegrywa się płyty i demonstruje aparaty bezinteresownie.

Naprawy we własnej pracowni. — Przerabia się gramofony przez dodanie membrany Pathé za Koron 10·—.

Kto raz posłyszał prawdziwy Pathéfon i poznał zalety naszego systemu, pozostaje na zawsze wiernym i gorącym jego zwolennikiem.

Ceny niskie. — Jakość towaru doborowa.

Świece Apollo

są wówczas tylko prawdziwe, jeśli na dnie każdej świecy wyciśnięta jest lira a na boku słowo „Apollo".

APOLLO

Czy już kiedy otrzymał Pan „Phonograph" za darmo?



Aby moje, najlepsze, najnowsze i najtrwalsze płyty wszędzie wprowadzić, postanowiłem „2500 Phonographów" rozdać bezpłatnie. Proszę zażądać cennika (załączając markę dziesięciohalerzową) a otrzyma Pan darmo i opłatnie wspaniały, koncertowy Phonograph.

GŁÓWNY SKŁAD „LÖWIN"
Wiedeń, VI. Gumpendorferstrasse 111/VIII.

FRANÇAISE

demeurant a Cracovie pendant les vacances cherche leçons.

Adressez poste restante Mme A. 109.

Codzienny nakład 40.000 egzemplarzy.

GAZETA KRAKOWSKA

wychodzi codziennie o godzinie 7 wieczór.

Gazeta Krakowska

jako organ bezpartyjny i niezależny, podaje najdokładniejsze sprawozdania z ruchu wyborczego do Rady Państwa, omawia poszczególne kandydatury w okręgach wyborczych zachodniej Galicyi i przynosi codziennie obfitą kronikę i depesze z całego świata.

Abonament miesięczny

Gazety Krakowskiej

wynosi z przesyłką kor. 1·50 — pojedynczy numer 6 hal. i można takową nabywać w agencyach pism i trafikach w całym kraju.

Adres Redakcyi: **Kraków, ulica Jagiellońska L. 10.**

Naczelny redaktor i wydawca: Zygmunt Rosner. Redaktor odpowiedzialny: Feliks Szczepanik. Druk A. Rippera w Krakowie